



..... Rok 18 nr 1 (109) • październik-listopad 2021

Korniszon

Miezależny Miesięcznik Młodzieży w Każdym Wieku

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY „OCHOTA”

02-348 Warszawa, ul. Rokosowska 10, tel. 22 822 28 95

www.mdkochota.edu.pl, poczta redakcyjna: korniszon007@wp.pl



Numer wydany przy współpracy Oddziału PTZN w Warszawie i Centrum Handlowego Blue City

Kochani Czytelnicy! Długo i mozolnie rodził się ten numer „Korniszona”, dlatego na okładce u nas jeszcze złota jesień, choć już grudzień za pasem, a wirujące już czasem pierwsze śnieżynki zwiastują rychłe nadejście Pani Zimy, a wraz z nią wyczekiwanych Świąt... Ale za to numer to wypasiony, tłustniejszy niż zazwyczaj - nie tylko pod względem objętości (20 stron!), ale i treści przebogatej, pełnej retrospekcji i aktualności, kolorowych brzmiących muzyką i śmiechem imprez - i spokojnej refleksji, powiewu wielkiego świata - i codziennych odgłosów naszego lokalnego ochockiego podwórka. A wszystko to oświetlone rześcisie neonowym światłem, którego pełen jest finalizowany wkrótce projekt „Miasto światła i kolorów”. Spoiwem, osią tematyczną i głównym przesłaniem tego numeru, jest jednak niewątpliwie empatia, która w różnych wcieleniach pojawia się tu na wielu stronach. Oprócz tematu wspierania leczenia ochockiej uczennicy Julki, którym przez całą jesień żyliśmy wraz z naszą dzielnicą, znajdziecie tu relację z akcji charytatywnej na rzecz dzieci chorych na raka „Dzień Piżamy - obudź w sobie Anioła”, w której także wzięli udział wychowankowie MDK. Empatia dla każdego potrzebującego i pokrzywdzonego przez los była drogowskazem sióstr elżbietanek, których historię możecie przeczytać w pierwszej części bardzo ciekawego tekstu „Pośród sióstr”. A co ma wspólnego empatia z hierarchią, równouprawnieniem, sprawiedliwością i komunikacją niewerbalną? Dowiedziecie się tego z lektury „Korniszona”! :) W obecnych, trudnych dla nas wszystkich pandemicznych czasach empatia jest z pewnością umiejętnością i postawą, którą warto w sobie pielęgnować, aby uczynić wyzwania codzienności łatwiejszymi, a deficyt relacji międzyludzkich i bliskości zrekompensować ich jakością. Czego Wam życzymy, drodzy Czytelnicy - i na każdy kolejny dzień, i na zbliżające się Świąta. Niech nam się uda zachować to co najważniejsze - w nas i między nami.

Redaktor naczelna Anna Szwed

W tym numerze m. in.:

Wywiad z panem Piotrem Majem	2,3
Jesienne aktualności – „Na żywo i w kolorze”.....	4,5
W stronę wartości – NA RZECZ JULKI	6,7,8
Ałtsajder – hierarchia i równouprawnienie	9
Moc super nowości! w BLUE CITY.....	10,11
Korniszon w dalekiej podróży	12,13
Kiszka coolturałna – książki i film	14,15 16
Komunikacja NIEWERBALNA	17
Finał Przeglądu „Warszawo Ma”.....	20

ZŁOTA MYŚL NUMERU:

Realizujemy się najpełniej,
jeśli potrafimy żyć dla innych.

Mędrzec O’Guru (Ks. J. Twardowski)

Fot. Anna Szwed



TO JEST COŚ PONADZASOWEGO

WYWIAD Z PANEM PIOTREM MAJEM, TWÓRCĄ RUBRYKI „MIASTO ŚWIATEŁ I KOLORÓW”

Uczestnicy projektu edukacji kulturalnej „MIASTO ŚWIATEŁ I KOLORÓW. NEONY WARSZAWSKIE DAWNIEJ I DZIŚ”, realizowanego w ramach programu PEGaz Biura Edukacji, spotkali się na platformie ZOOM z panem Piotrem Majem, autorem wielu artykułów o tej tematyce w „Korniszonie”, aby porozmawiać o tym fenomenie przestrzeni miejskiej Warszawy, jego historii i teraźniejszości.

Korniszon: Neony. W środowisku miejskim od ponad 60 lat otaczają nas, próbując przykuć naszą uwagę, czy to starannie dobranymi barwami, ciekawym projektem, wielkością czy ruchem. Dziś mamy przyjemność porozmawiać ze znawcą i miłośnikiem tych ciekawych urządzeń, a może dzieł sztuki – Panem Piotrem Majem, twórcą rubryki „Miasto światła i kolorów”, która już od wielu lat ubarwia kolejne numery naszego miesięcznika.

Panie Piotrze, jest Pan miłośnikiem neonów, to również Pana ogromna życiowa pasja. Jaki w takim razie neon pozostawił najgłębszy ślad w Pana pamięci? Jaki neon pamięta Pan ze swoich najmłodszych lat?

Piotr Maj: Gdy byłem dzieckiem, miałem wtedy może cztery, może pięć lat, to było jeszcze w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, czyli ponad trzydzieści lat temu, w Polsce nie było zbyt kolorowo, jeśli chodzi o takie życie codzienne. Natomiast właśnie neonów było dużo więcej niż obecnie. Nie tylko w centrum Warszawy, ale i w innych dzielnicach właściwie każdy większy sklep, każdy większy punkt usługowy czy jakaś inna placówka, czy to kulturalna, czy handlowa, miała jakiś swój neon. Często właśnie tak jak już mówiłeś, to było małe dzieło sztuki. Często te neony były ruchome, w tym sensie że przedstawiały jakąś sekwencję, sprawiały wrażenie ruchu. Tak jak w filmie animowanym poklatkowo, kiedy szybko przesuwa się obrazki, sprawiają one wrażenie ruchu. No i wtedy ja, jako ten mały, kilkuletni chłopiec, z niezwykłym zacięciem oglądałem, jadąc np. autobusem czy tramwajem przez centrum miasta, te wszystkie migające reklamy. Pamiętam na przykład neon kawiarni, gdzie para leciała z filiżanki kawy, czy latające jaskółki na Domu Mody Polskiej. To było coś niesamowitego, taki element baśniowy, magiczny można by powiedzieć. Wywarło to na mnie bardzo duże wrażenie. A potem, bliżej końca wieku, te piękne dawne neony coraz bardziej znikały, bo niektórzy uważali, że to przeżytek, że to jest niepotrzebne, że w nowej rzeczywistości polityczno-handlowej to już nie ma racji bytu. Coraz więcej neonów było więc, niestety, likwidowanych, niszczone. Ale z upływem lat, już po dwutysięcznym roku, ludzie jednak zrozumieli, że ten klasyczny dawny neon to jest coś ponadczasowego, że to jednak nie powinno odejść w zapomnienie, tylko jednak warto wrócić do tych klasycznych reklam. I stąd właśnie inicjatywa pani Ilony Karwińskiej, która założyła Muzeum Neonów w Warszawie, które obecnie mieści się przy ul. Mińskiej na Pradze, w kompleksie Soho Factory. Właśnie ona zaczęła kilkanaście lat temu akcję ratowania neonów. Najpierw je fotografowała, później wydała album z tymi fotografiami, niestety połowy neonów z tego albumu już nie ma, część z nich jest w muzeum. Po wydaniu albumu pani Ilona zaczęła zbierać stare neony z całego kraju, nie tylko

z Warszawy, ale i z całej Polski, ma grupę współpracowników, którzy jej w tym pomagają, a także firmę, która restauruje, naprawia, odnawia dawne reklamy świetlne. Część tych dawnych neonów, też ta firma produkowała przed laty. Obecnie muzeum coraz bardziej się rozwija, przyciąga coraz więcej widzów, zwiedzających. Nawet chyba obecna czołówka Pol-satu była nakręcona w tym muzeum.

Korniszon: Wymienił Pan przykłady starych warszawskich neonów, jak chociażby te słynne jaskółki na Domu Mody Polskiej. Można by jeszcze wymienić, chociażby neon IZIS, który jest do dzisiaj na Placu Konstytucji albo neon na Domu Towarowym Junior. A czy ostatek się w Pana pamięci jakiś jeden neon z najmłodszych lat, taki, dzięki któremu zainteresował się Pan tym tematem? Dzięki któremu jest to obecnie Pana pasja?

Piotr Maj: Tak, był piękny neon w Alejach Jerozolimskich, między obecnymi rondem Dmowskiego, a rondem de Gaulle'a. Był tam sklep z rosyjskimi artykułami, „Natasza” się nazywał. I tam był neon w kształcie takich drewnianych rosyjskich matrioszek, bab takich, które się wkłada jedna w drugą, od najmniejszej do największej, w większej kryje się mniejsza itd. Właśnie w kształcie tych matrioszek był ten neon, i one migaly. No i też inny neon, kawałek dalej, u zbiegu Alej Jerozolimskich i Kruczej. Tam była kwaciarnia, a nad nią neon – piękny bukiet kwiatów, bardzo duży, umieszczony pionowo na rogu budynku, sięgał chyba aż drugiego piętra. To były piękne, czerwone kwiaty, z zielonymi łodygami. Niestety, kwaciarni już dzisiaj nie ma i tego neonu też już nie ma. Oba moje ulubione neony z dzieciństwa już dawno zniknęły. Był też jeszcze jeden, przy Placu Konstytucji, tam była perfumeria i piękny neonowy napis „PERFUMERIA”, takie stylizowane ozdobne litery... Też już go nie ma. Te właśnie neony wtedy mnie tak zafascynowały, te trzydzieści kilka lat temu, mam je w pamięci do dzisiaj. I jeszcze taki neon, który znajdował się na Ochocie, tam gdzie wtedy mieszkałem, przy ul. Pruszkowskiej, w latach mojego dzieciństwa widziałem go z okna swojego pokoju. Naprzeciwko był pawilon handlowy i punkt usługowy, „Praktyczna Pani” się nazywał, był tam szewc, punkt naprawy obuwia i reklamujący go neon – piękny bucik i rękawiczka. Widziałem go codziennie wieczorem, gdy świecił do okna mojego pokoju. To też z takich właśnie osobistych wspomnień.

Korniszon: Mówił Pan, że tych neonów nie ma. Dlaczego ludzie się ich pozbywają, jeżeli są takimi pięknymi dziełami sztuki?

Piotr Maj: Przede wszystkim neony są dosyć delikatne i trudne, skomplikowane w obsłudze. Baner, wiadomo można zdjąć, wyrzucić, czy przerobić na jakieś inne przedmioty. Natomiast neon trzeba konserwować, wymieniać te rurki.

Warunki atmosferyczne stwarzają dla nich zagrożenie – silny wiatr może spowodować uszkodzenie neonu, po intensywnych opadach śniegu neon może się po prostu zarwać, szklane rurki mogą popękać na mrozie. No i niestety również sporo energii elektrycznej taki neon zużywa. Oczywiście zależy to od tego, jak długo on świeci, bo niektóre świeciły całą noc, niektóre tylko do zamknięcia sklepu. To też zależy od pory roku, wiadomo, że jesienią czy zimą okres ciemności, okres nocy jest dłuższy niż wiosną czy latem. No, ale jednak sporo prądu jest zużywane na zasilanie neonu. Również częste zmiany najemców lokali powodują, że taki neon obecnie się długo nie utrzyma. Kiedyś, przed laty, jeszcze w czasach PRL-u, nie było tak częstych zmian lokali jak teraz, kiedy na przykład w jednym roku w danym lokalu usługowym działa krawiec, w następnym roku jest cukiernia, a w jeszcze następnym apteka albo kwaciarnia, to się obecnie bardzo często i szybko zmienia. No i po prostu, gdy nadchodzi zmiana branży, zmiana przeznaczenia lokalu handlowego czy usługowego, to taki neon nie ma racji bytu, bo nie reklamuje już właściwej dziedziny czy towaru. I dlatego właśnie często są one zamieniane na dużo mniej skomplikowane reklamy i dlatego jest ich coraz mniej. Ale na szczęście przed ostatnie dziesięć lat sporo nowych pięknych neonów przybyło w Warszawie. Jest ich obecnie więcej, niż jeszcze piętnaście lat temu. Cieszy mnie to, że jednak ludzie wracają do dawnych tradycji.

Korniszon: Który z nich, z tych nowo powstałych, jest pana zdaniem takim najładniejszym, najciekawszym warszawskim neonem?

Piotr Maj: Najbardziej podoba mi się neon przy Placu Konstytucji, obok hotelu MDM, jest tam restauracja i jej reklama – komin, z którego co jakiś czas wylatuje obłoczek dymu. Jest to piękny neon, właśnie taki ruchomy, który właśnie w taki animowany sposób imituje sekwencję ruchu. Jest też drugi neon przy ul. Marszałkowskiej, u zbiegu chyba Dąbrowskiego, dokładnie nie pamiętam. W każdym razie za ul. Świętokrzyską, a przed Królewską. Tam jest z kolei kucharz, który podrzuca rybę na patelni i ta ryba mu spada z tej patelni i leci na podłogę – to też jest reklama restauracji. I jeszcze jeden neon, który niedawno odkryłem na Placu Wilsona na Żoliborzu – stoi on po prostu na trawniku rozdzielającym tory tramwajowe i stanowi reklamę Placu Wilsona. Jest to stylizowana zielona litera „W”, a w poprzek tej litery przebiegają fale Wisły, która przecieź niedaleko stamtąd przepływa. To piękny, nowoczesny neon, który pojawił się całkiem niedawno. No i oczywiście w kolejnych numerach „Korniszona” zamierzam opisać te nowo powstałe neony. Mam nadzieję, że będzie ich jeszcze więcej przybywać z każdym kolejnym rokiem.

Korniszon: Ja tak pytałem właśnie o te nowo-

czesne neony, te, które pojawiły się ostatnio, dlatego, że w MDK trwa obecnie gra miejska „Neon Challenge”, a uczestnicy tej gry mają za zadanie co miesiąc odnajdować wskazane warszawskie neony i w jak najciekawszy sposób je udokumentować. Jakie rady może Pan dać uczestnikom gry? W jaki sposób można zarejestrować taki neon?

Piotr Maj: Na pewno najlepiej się wybrać na spacer wieczorem, z aparatem fotograficznym. Teraz właściwie każdy ma przy sobie aparat w smartfonie. Ale również zachęcam, żeby nie polegać tylko na telefonie, jeśli ktoś ma aparat fotograficzny, to koniecznie go ze sobą zabrać, pochodzić po prostu, pooglądać, porobić zdjęcia. Czasem niespodziewanie można odkryć coś nowego, nową reklamę, której wcześniej nie było, albo jej nie widzieliśmy, w jakichś bocznych uliczkach, niekoniecznie w centrum. Albo po prostu wejść w którąś z bocznych uliczek od Marszałkowskiej, Alej Jerozolimskich – tam czasem też można trafić na różne fajne neony, różne fajne miejsca, które są dość ukryte, mimo że znajdują się blisko głównych ulic Warszawy, no ale jednak trochę na uboczu. Ja szukam również w Internecie, tam są również zdjęcia przedwojennych neonów, po których nie ma już żadnego śladu, po Powstaniu Warszawskim, po wojnie czy właśnie po PRL-u. Można sobie przygotować mapę tych miejsc, które warto odwiedzić. No i też przede wszystkim można się wybrać do Muzeum Neonów, jest tam opisana historia każdego z eksponatów, które są tam umieszczone. Niektóre też po odrestaurowaniu wróciły na swoje dawne miejsce, mimo, że

udział w konkursie literackim, napisałem opowiadanie, wspomnienie z dzieciństwa, kiedy to jako mały chłopiec wyobrażałem sobie, że po zmroku, nocą uruchamiam neony, gdzieś jakimś magicznym przyciskiem, który powoduje, że się one magicznie zapalają, rozświetlają. No i tym tekstem zdobyłem wyróżnienie. Wtedy zaproponowałem Pani Annie Szwed współpracę z redakcją „Korniszona”, zadeklarowałem, że do każdego numeru pisma będę pisał artykuł o którymś z neonów. Zarówno spośród tych dawnych, które jeszcze działają, które jeszcze nie zostały zniszczone czy zdemontowane, jak również tych nowych, które się pojawiają w ostatnich latach. Nawet nie zorientowałem się, kiedy minęło dziesięć lat, już kilkadziesiąt artykułów przygotowałem i opublikowałem w redakcji „Korniszona”.

Korniszon: Do tej pory mówił pan o neonach warszawskich. Czy zapadł panu w pamięć jakiś neon spoza Warszawy?

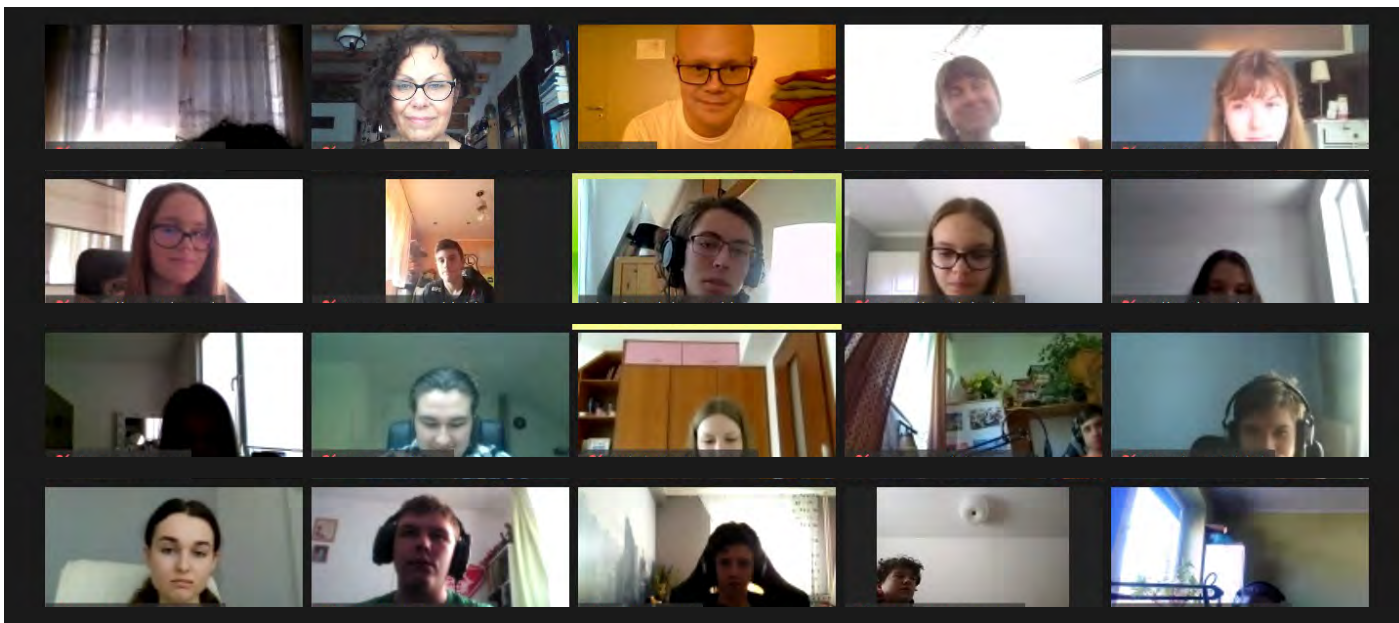
Piotr Maj: Tak, na przykład we Wrocławiu są też piękne neony. Jeden to zielony napis „ZOO” nad bramą prowadzącą do ogrodu zoologicznego i taki fajny lewek koło tego napisu. Jest też genialny neon tuż koło dworca wrocławskiego – kolorowy jegomość w kapeluszu z bukietem kwiatów i napis „Dobry wieczór we Wrocławiu”. To jest bardzo fajny neon, z tych co mi najbardziej odpowiadają. Natomiast kilka lat temu, kiedy byłem na wycieczce w Wilnie, widziałem przepiękny neon, z tym, że niestety niedziałający, raczej już zapomniany, reklamował aptekę – napis „Vaistine”, czyli apteka po litewsku

pasjonatów, czy też właśnie młodzi fotografowie, którzy neony fotografują. Jest ich sporo, aczkolwiek nie mam szczegółowych informacji na ich temat, natomiast warto poszukać, nawet w Internecie ogłaszają się różne grupy, na Facebooku na przykład. Są bardzo duże możliwości dotarcia do nich czy nawet zorganizowania takiej własnej grupy. Miłośników neonów jest sporo, z każdym rokiem przybywa miłośników tego rodzaju reklamy. Warto też przeglądać lokalną prasę warszawską, bo czasami, nieczęsto, ale bywają fajne artykuły o neonach, różnych ciekawych miejscach w Warszawie – można taki artykuł wyciąć, zachować i mieć w zbiorach, to również rozwija tę pasję.

Korniszon: Czy gdyby zmienić recepturę produkcji neonów, to czy ta dziedzina mogłaby odżyć?

Piotr Maj: Być może tak, ale tutaj trzeba by było się skontaktować z twórcą czy wytwórcią neonów. Trudno mi jest odpowiedzieć na to pytanie, od strony technicznej aż tak dobrze się na tym nie znam. Można poszukać też w Internecie firmy zajmującej się produkcją neonów czy konserwacją i maila do nich, aby uzyskać informacje. Myślę, że opisaliby wszystko dokładnie, ja natomiast nie mam szczegółowej wiedzy na ten temat.

Dorota Gniazdowska: Ja mam nie tyle pytanie, co taką uwagę. Moi kochani uczniowie są urodzeni mocno po 2000 roku, natomiast jak pan opowiadał o tych dawnych neonach warszawskich, o tej kwiaciarni, ja po prostu sobie



sklepu czy punktu usługowego, który reklamują, już tam nie ma od lat. Ale czasem warto tak po prostu, spontanicznie, pójść sobie pooglądać wieczorną Warszawę i uwiecznić swoje odkrycia.

Korniszon: Jest Pan twórcą stałej rubryki „Miasto światła i kolorów” w „Korniszonie”, pisze Pan do niej od dłuższego czasu artykuły. Jaka historia kryje się za powstaniem tej rubryki? W końcu neony to jest dosyć niszowy temat. I w jaki sposób można młodzież zachęcić do interesowania się nimi?

Piotr Maj: Wszystko zaczęło się od którejś z kolei edycji konkursu organizowanego przez MDK „Przyszłość spełnionych marzeń”. To był rok bodajże dwa tysiące jedenasty, no czyli już z dziesięć lat temu. I właśnie wtedy wziąłem

i wąż Eskulapa, czyli symbol medycyny, a do tego mózdzierz, w którym się rozrabia, rozciera różne składniki leków. Udało mi się zrobić zdjęcie zza szyby autokaru, ale niestety nie zapamiętałem na jakiej ulicy się znajdował. Było to kilka lat temu, więc podejrzewam, że tego neonu może już nie być, ale właśnie on mi tak zapadł w pamięć. No i właściwie w każdym większym mieście w Polsce też można właśnie bardzo ciekawe neony zobaczyć, sfotografować i zapamiętać.

Korniszon: Czy jest jakieś zinstytucjonalizowane środowisko pasjonatów tej dziedziny kultury w Polsce, Warszawie, Europie lub świecie?

Piotr Maj: Są różne kluby, ale nie jestem członkiem żadnego z nich. Są też różne grupy

przypominałam, jak jeżdżąc tramwajem, je widziałam. To jest niesamowite déjà vu, taki powrót do dzieciństwa. Na pewno chętnie zapoznam się z tą publikacją, która ma powstać w rezultacie naszego projektu, bo to będzie bardzo cenne – nie tylko z tego powodu, że warto ocalić od zapomnienia, warto inspirować, żeby nie umarła ta dziedzina kultury, ale może mieć też wymiar zupełnie osobisty, bo człowiek sobie przypomni kawałek swojego dzieciństwa. Czy mi się zdaje, czy koło Wedla był neon?

Piotr Maj: Tak, a teraz jest też w centrum, przy ulicy Szpitalnej, gdzie jest pijalnia czekolady, teraz jest ich bardzo dużo, właściwie w każdej dużej galerii czy centrum handlowym jest pijalnia czekolady Wedla, ale właśnie tam kiedyś była największa, główna. I jest neon, przez jakiś

czas nie świecił, był konserwowany. Symbol Wedla, czyli ta zebra z chłopcem i tabliczką czekolady, ona tam świeci nad domem Wedla. Także na Mokotowie, w zbiegu ulic Madalińskiego i Puławskiej, gdzie jest przedwojenny dom Wedla, sklepu nie ma już od kilkudziesięciu lat, natomiast wrócił neon „E. Wedel”.

Korniszon: Czy był może jakiś neon, który wzbudził u pana kontrowersje?

Piotr Maj: Są neony, których nie mogę opublikować w „Korniszonie” ze względu na to, że to jest pismo dla młodzieży, ponieważ reklamują np. kluby nocne i to nie tylko muzyczne. Był na przykład taki jeden neon, który przedstawiał rozebraną panią. Z artystycznego punktu widzenia nie był on brzydki, jednak takie neony, z racji, że reklamują dość specyficzne miejsca, nie nadają się do publikacji tutaj.

Korniszon: A w książce?

Piotr Maj: W książce może tak, może przygotuję neony bardziej kontrowersyjne. Na przykład neon, przedstawiający shisę, z której unosi się dymek... Poszukam i może to się pojawi w książce. W czasopiśmie dla dzieci ktoś mógłby to opacznie rozumieć i dlatego nie publikujemy tego typu neonów, jednak z artystycznego punktu widzenia są ciekawe i może jest to dobra

sugestia, aby opisać ten neon w książce.

Korniszon: Jakie może być inne wykorzystywanie neonów oprócz reklamy?

Piotr Maj: Są na przykład neony, które wskazują drogę, kierunek jazdy. W Polsce ich dużo nie ma, są w innych krajach np. ze strzałkami i nazwami miejscowości. Neony można też zastosować do oświetlania wnętrz.

Korniszon: A możemy też powiedzieć, że neony były stosowane jako światła drogowe w autach, ale zostały szybko zastąpione przez ksenony, które z kolei w ciągu kilku ostatnich lat zostały zastąpione przez LEDy. Ale nadal można je spotkać w lepszych wersjach bardziej konserwatywnych aut.

Piotr Maj: Tak, kiedyś przeprowadzano z tym eksperymenty, jednak nie była to zbyt opłacalna forma oświetlania drogi, zaniechano więc tych prób.

Korniszon: A co pan sądzi o zastosowaniu neonów do podświetlania dołów samochodów? Pojawiały się m.in. w grach „Need For Speed” czy w filmach „Szybcy i Wściekli”.

Piotr Maj: Były one bardzo efektowne, jednak niezgodne z przepisami i dlatego zostało to wycofane. Wiele samochodów z tą instalacją

nie mogło uzyskać rejestracji i pozwolenia do poruszania się po drogach publicznych, dlatego zaniechano tych praktyk, ale byłyby to bardzo ciekawe pomysły. Było to związane z przepisami ruchu drogowego, nie pamiętam jaki dokładnie był zarzut, ale coś w rodzaju, że samochody oślepiły kierowców innych pojazdów.

Korniszon: Również wiem, że w autach nie używa się neonów, ponieważ zostałyby szybko zniszczone. Dlatego w tego rodzaju tuningu wykorzystuje się paski LED.

Piotr Maj: Tak, neon jest zbyt kruchą materią.

Korniszon: Dziękujemy za wywiad.

Piotr Maj: Dziękuję wam wszystkim za udział, za wszystkie pytania, za możliwość porozmawiania z wami, było bardzo miło, mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

Wywiad przygotowali uczestnicy warsztatów humanistyczno-dziennikarskich prowadzonych w ramach projektu „Miasto światła i kolorów”, uczniowie 48 LO im. Edwarda Dembowskiego wraz ze swoją nauczycielką Dorotą Gniazdowską

**Wywiad prowadził: Józef Majchrowski
Spisali: Adrianna Dąbrowska, Mariusz Wlazło**

AKTUALNOŚCI

TRZYMAJ FORMĘ Z PIĄ



Cześć! W ostatni wrześniowy tydzień w Szkole Podstawowej nr 264 oraz Ognisku Pracy Pozaszkolnej odbył się Europejski Tydzień Sportu, w ramach którego miałyśmy przyjemność przeprowadzić wywiad z polską olimpijką – **Pią Skrzyszowską**. Lekkoatletka specjalizuje się w biegach sprinterskich oraz biegach przez płotki. Pia jest młodzieżową mistrzynią Europy 2021 z Tallina i olimpijką z Tokio 2020.

Redakcja: Czy spodziewałaś się, że osiągniesz taki sukces?

Pia: Trochę tak, trochę nie, szczerze mówiąc, ponieważ wiedziałam na co mnie stać w tym sezonie, jednak nie spodziewałabym się tego jeszcze rok czy dwa lata wcześniej, że będę mogła zdobyć medal na mistrzostwach Europy i pojechać na Igrzyska.

Redakcja: Czy nastawiałaś się na wygraną na Mistrzostwach Europy w Tallinie, czy raczej spodziewałaś się porażki?

Pia: Raczej nastawiałam się na wygraną, chociaż nie byłam tego taka pewna. Na pewno chciałam zdobyć jakiś medal.

Redakcja: Jaki jest twój największy cel na przyszłość?

4 Pia: Myślę, że Igrzyska Olimpijskie w Paryżu

w 2024 roku to taki największy cel. Chciałabym bardzo dostać się do finału, może trochę więcej, zobaczymy w jakiej będę formie. Jednak takie najbliższe pragnienie to Halowe Mistrzostwa Świata w marcu w Belgradzie.

Redakcja: Czym różniły się Igrzyska w Tokio podczas pandemii od innych turniejów, które odbywały się normalnie?

Pia: Na pewno tym, że był wielki stadion – na takim dużym jeszcze nigdy nie byłam – ale pusty. Przez to było trochę smutno. Codziennie trzeba było robić testy na koronawirusa, przez całe trzy tygodnie.

Redakcja: W jakiej odległości od stadionu znajdowała się wioska olimpijska?

Pia: Na stadion jechało się około trzydziestu minut, więc nie była to jakaś bardzo duża odległość.

Redakcja: Ile czasu poświęcasz na treningi i jak udaje ci się to połączyć na naukę?

Pia: Trenuję 6 razy w tygodniu po dwie godziny. Na szczęście plan mam na studia dosyć przystępny, bo idę dopiero na pierwszy rok, więc jakoś to łączę, chociaż czasami brakuje czasu.

Redakcja: W którym momencie zauważyłaś,

że twoja kariera zaczęła iść do przodu?

Pia: Etapy były różne. Na początku na pewno pierwsze Mistrzostwa Polski, wiadomo, taki sukces i rekord Polski. Później, właśnie jak zmieniłam trenera na mojego tatę, to jakoś tak bardziej się sprecyzowała. I myślę, że jednak gdyby te Igrzyska nie zostały przełożone, byłoby mi ciężiej się na nie dostać.

Redakcja: Czy dobrze ci się współpracuje z tatą jako trenerem?

Pia: Tak, tak bardzo dobrze. Dogadujemy się i w sumie się śmiejemy teraz dużo. Dotąd trenowałam z nim dwa lata, a w tym roku przychodzi do nas nowy chłopak do grupy, więc też coś nowego.

Redakcja: To już wszystko. Bardzo dziękujemy Ci za wywiad.

Pia: Również dziękuję.

Spotkanie cieszyło się ogromnym zainteresowaniem. Pia pokazała wszystkim, że „tylko trening czyni Mistrza”, że trzeba mieć marzenia i robić wszystko, aby się spełniały. Przekazała także autograf dla Czytelników Korniszona i obiecała następnego spotkanie – lekcję wf.

Korniszonki z SP 264, Martyna, Natka, Paula

AKTUALNOŚCI

KONCERT „NA ŻYWO I W KOLORZE”



Koncert „Na żywo i w kolorze czyli polskie przeboje lat 80-90-2000” był pierwszym koncertem, który Wokalna Grupa Reprezentacyjna zaśpiewała po roku od wprowadzenia pandemicznych obostrzeń.

Na żywo – dla prawdziwej publiczności – **i w kolorze** – bo w pastelowo-fluorescencyjnym świetle scenicznym. Z tym większą radością młodzi wokaliści wykonali niezapomniane przeboje polskich artystów : Zdzisławy Sońnickiej, Haliny Frąckowiak, Andrzeja Zauchy, Ewy Bem, Zbigniewa Wodeckiego, zespołu Maanam, Republiki, Varius Manx czy De Mono. Dla części z nas (tej nieco starszej) lata 80-90 to okres dzieciństwa, dorastania, młodości. To czas, kiedy budowanie społeczności opierało się na ciekawości poznawania nowego, wspólnych zainteresowaniach,

nie zaś na historii i podziałach. To czas analogowych płyt, kaset VHS, kiczu i pstrokaczyny, ale wspominamy go z nostalgią i rozrzewnieniem. Lata 80-90-2000 to dla współczesnych nastolatków właściwie prehistoria, więc koncert był dla nich swoistą podróżą w czasie i zyskał wymiar edukacyjny. Stare przeboje zyskały nowe, świeże aranżacje, a całość dopełnił wspaniały zespół instrumentalny. Było trochę nostalgicznie, wzruszająco, ale też bardzo wesoło i rozrywkowo. Hit zespołu „Banda i Wanda” poderwał publiczność do wspólnego tańca i cała zamieniła się w kolorową dyskotekę z lat 90-tych!

Joanna Karpieńska



Fot. Wojtek Mosiołek

NIE JESTEŚMY OBOJĘTNI... FESTYN CHARYTATYWNY NA RZECZ JULKI



Październikowa słoneczna niedziela (10.10.2021) należała do Was. Nasz mini-festyn charytatywny na terenie SP 264 na rzecz Julki okazał się mega-festynem i wielkim darem Waszych serc. Zebraliśmy w trzy godziny cudownej zabawy i świetnych licytacji ogromną kwotę – **ponad 53 tysiące złotych**. Robi wrażenie!

Dziękujemy wszystkim, którzy bezpośrednio i pośrednio zaangażowali się w organizację naszej imprezy. Nie sposób wymienić wszystkich! Scena pękała od występów: tancerze z OPP, solo, duety i animacje z Egurrola Dance Studio, występ wokalny uczennicy XXI LO, liczne licytacje prowadzone m.in. przez Panią Burmistrz Dorotę Stegienkę i wiele wiele innych. Nasza zbiórka trwać będzie dalej do końca października, a jak będzie potrzeba – to i dłużej. Mamy nadzieję, że zebrana kwota pomoże Julce jak najszybciej do nas wrócić – w zdrowiu i z uśmiechem na ustach.

Było wiele momentów wzruszeń i dumy, że mamy wokół tak wielkie grono ludzi z otwartymi, szczerymi sercami. Jeszcze raz - serdecznie DZIĘKUJEMY. A oto gorące refleksje naszych Wolontariuszy:

Paulina, Natalia, Martyna, Oliwia, Zosia, Marysia – 8B: Wzięłam udział w niedzielnym festynie, ponieważ lubię bezinteresownie pomagać ludziom. Razem z Pauliną, Natalią, Martyną z mojej klasy przygotowaliśmy kawiarenkę, sprzedawaliśmy słodkości na stoisku i kupowaliśmy inne rzeczy, przekazując pieniądze na operację Julki. Jesteśmy bardzo mile zaskoczone ilością zebranych pieniędzy. Ogólnie atmosfera na festynie była



bardzo przyjemna i przyszło mnóstwo osób. Pomagać znaczy dawać bezinteresowną pomoc innym ludziom.

Stasiek, Kamil, Julia – 8A: Należymy do wolontariatu i naszym wręcz obowiązkiem było pojawienie się w niedzielne południe dla Julki. Podobało nam się, że włączyła się tak duża liczba osób, bardzo dobrze bawiliśmy się z przyjaciółmi. Przecież pomaganie to wsparcie bezinteresowne drugiej osoby.

Kajtek – 8D, Maja i Nicole – 8C: Przyszlismy, aby dobrze się bawić, a przy okazji pomóc naszej koleżance. Sprzedawaliśmy na stoisku, rozdawaliśmy ulotki, zbieraliśmy do puszek oraz zapowiedzieliśmy artystów na scenie. Był bardzo zabawny, pozytywny klimat. Miło spędziliśmy czas z kolegami oraz pomogliśmy naszej koleżance.

Michał – 7B: Kupowałem rzeczy pomagając tym samym Julce. Bardzo mi się podobało, było wzruszająco.

**W imieniu Wolontariuszy
oraz całej społeczności szkolnej,
Korniszonki z 8b**

Redakcja „Korniszona” donosi, że Młodzieżowy Dom Kultury także był obecny na festynie dla Julki – na scenie wystąpiła Grupa Muzyczna Dream Team oraz wokaliści MDK. Byliśmy przy wszystkich stoiskach, kupowaliśmy co się dało, licytowaliśmy fanty (i oddawaliśmy je do ponownej licytacji) i kibicowaliśmy wszystkim Ludziom Dobrej Woli. Dziękujemy za zaproszenie i możliwość udziału w tym wspaniałym wydarzeniu!

SŁOWNIK WYRAZÓW DOBRYCH EMPATIA

Witajcie Korniczyltelniczy!

Stęskniłam się bardzo za wami, za naszymi wspólnymi rozmowami, chociaż to takie trochę irracjonalne, bo nawet nie wiem czy czasami zgadzacie się ze mną i tym o czym wam tu piszę. Ale musicie wiedzieć, że czerpię z tego ogromną radość i satysfakcję. Siedem liter, tworzących dobre słowo numeru, składa się na bardzo ważne pojęcie, które pewnie wszyscy znamy ale czy na pewno właściwie rozumiemy? I czy potrafimy przekuć je w działanie zawsze kiedy trzeba?

Termin empatia wywodzi się z greckiego słowa "empathia" i oznacza "cierpienie". Dzieli się na dwa rodzaje, w pierwszym ujęciu definiowana jest jako empatia emocjonalna czyli zdolność rozpoznawania i współodczuwania stanów psychicznych i emocjonalnych innych osób natomiast w drugim jako empatia poznawcza czyli umiejętność postawienia się w sytuacji innego człowieka i przyjęcia jego sposobu myślenia. W praktyce jest niezwykle ważną umiejętnością społeczną, jednak nie należy mylić jej ze współczuciem. Osoba o zdolnościach empatycznych rozumie własne emocje i potrafi trafnie rozpoznać stany emocjonalne innych ludzi. Wpływa to korzystnie na rozumienie zależności społecznych oraz relacje interpersonalne. Osoby empatyczne są świadome uczuć innych osób, dostrzegają podłoże wyznawanych przez nie wartości i potrafią wczuć się w konkretne sytuacje. Taka percepcja świata pozwala na weryfikowanie własnych poglądów i przyznawanie się do błędów, a także znaczne ograniczenie

zachowań agresywnych. Brak empatii w kontekście społecznym jest zjawiskiem negatywnym, ponieważ prowadzi do obojętności, trudności w rozwiązywaniu konfliktów i sięgania do rozwiązań siłowych. Co ciekawe, empatia emocjonalna i poznawcza mogą, ale nie muszą iść w parze. Możemy rozumieć drugą osobę, jej stanowisko i emocje, ale zupełnie tych emocji nie czuć. Można też odczuwać emocje, ale nie w pełni rozumieć stanowisko danej osoby. Człowiek o wysokiej zdolności empatii stawia dobro innych ponad własne cele. Jednak taka postawa nie zawsze jest dla nas dobra. W sytuacji, gdy nie potrafimy skupić się na swoich potrzebach, a nasze życie polega na ciągłym poświęceniu dla innych, możemy mówić o destrukcyjnym wpływie empatii na nasze własne życie. Dlatego takie zachowanie wymaga zdrowego podejścia. Zdrowa empatia to uczucie bardzo ważne i potrzebne, ma wielką moc i najlepiej ukazuje dobro człowieka. Bądźcie więc wrażliwi i otwarci na potrzeby innych, ale tak, by nie zatracić w tym siebie.

Tym razem, aby przekazać wam rzetelną wiedzę, posiłkowałam się publikacją Mirosławy Czerniawskiej „Empatia a system wartości”- Przegląd Psychologiczny 2002.

**Doktor Zrehabilitowana
Kornisława Kisz-Zieleńska**



Wychowankowie MDK „Ochota” pomagają, bo mają WIELKIE serca!



Wychowankowie MDK „Ochota” wiedzą doskonale co to pomoc, poświęcenie i oddanie drugiemu człowiekowi. Wielokrotnie dawali temu dowód, gdy tylko pojawiły się trudne sytuacje i prośby o wsparcie. Tak było w przypadku Julii Nasiłowskiej - 12 letniej uczennicy Szkoły Podstawowej nr 264 im. Gabrieli Mistral w Warszawie i wielokrotnej uczestniczki konkursów i wydarzeń w MDK.

W sierpniu u Julii zdiagnozowano Medulloblastomę – rdzeniaka zarodkowego - guza usytuowanego przy mózdzku. Julcia jest już po częściowej operacji wycięcia tego szkodnika, ale czeka ją i jej rodzinę jeszcze długa i kosztowna rehabilitacja oraz leczenie za granicą. Z każdej niemal strony do Julki spłynęło ogromne wsparcie finansowe. W całej dzielnicy i poza nią organizowano pikniki, akcje, licytacje internetowe i lokalne wydarzenia w szkołach i instytucjach. Liczyła się szybka reakcja i każda złotówka, ale oprócz tego coś kompletnie nieprzeliczalnego na pieniądze – otwarte serca ludzi, czasem kompletnie obcych, koleżanek, kolegów, znajomych. Obok takiej okrutnej

historii nikomu nie udało się przejść obojętnie. Wychowankowie i nauczyciele MDK z całą mocą i sercem też zaangażowali się w pomoc. Zbieraliśmy pieniądze w przeróżny sposób: podczas specjalnego koncertu „Na żywo i w kolorze”, młodzież z sekcji Wolontariat Młodzieżowy piekła przez tydzień ciasta i słodkości i sprzedawała w naszej placówce, na licytację dla Julii wystawiliśmy swoje firmowe gadżety, których cena przerosła nasze oczekiwania. Ale to nie wszystko, na pikniku zorganizowanym w SP 264 wystąpiły nasze sekcje artystyczne, ofiarując swój talent i pasję: Grupa musicalowa „Dream team”, zespół taneczny „Solo, duo, trio” i Wokalna Grupa Reprezentacyjna. W sumie przekazaliśmy na leczenie naszej młodej Przyjaciółki **2249 zł**.

Życzymy Ci Juleczko szybkiego powrotu do zdrowia, dużo siły i wytrwałości. Jesteś bardzo dzielna, trzymamy kciuki i czekamy na Ciebie w MDK. Dziękujemy wszystkim rodzicom i wychowankom zaangażowanym w naszą zbiórkę.

Anna Gryglewicz

„PIZAMA JAK DRUGA SKÓRA”



O sile edukacji, wrażliwości i empatii nasi wychowankowie mogli przekonać się też we wrześniu, kiedy wspólnie z nauczycielami MDK wzięli udział w pięknej akcji charytatywnej „Dzień pizama – obudź w sobie Anioła”. Było to wydarzenie organizowane przez fundację „Gdy liczy się czas” na rzecz dzieci przebywających na oddziałach w szpitalach onkologicznych. Akcja była organizowana w całej Polsce, miała na celu szeroko pojętą edukację dzieci i młodzieży na temat chorób onkologicznych dzieci, ich wielokrotnie ciężkiego przebiegu, a także przez swój charakterystyczny przebieg zwrócenia uwagi na ubiór podopiecznych szpitali. Motywem przewodnim całej akcji była właśnie pizama, która u dzieci i młodzieży staje się jedynym ubiorem na wiele miesięcy pobytu w szpitalu. Dodatkowo akcja promowała aktywność fizyczną jako aspekt dbania o zdrowie.

Podczas wydarzenia zorganizowanego w MDK wychowankowie i nauczyciele, ubrani oczywiście w pizamy wzięli udział w zadaniach sportowych, ruchowych, tanecznych. Rozmawialiśmy o celu akcji, pobudziliśmy w uczestnikach większą empatię i przekazaliśmy nową wiedzę. Młodzież stworzyła hasła wsparcia dla podopiecznych szpitali, a młodsze dzieci składały kolorowe aniołki na znak solidarności. Robiliśmy zdjęcia w aniołkowym monidle i staraliśmy się poprzez swoje działania przekazać moc pozytywnej energii i dobrych myśli.

Dodatkowo dzięki naszemu wspólnemu zaangażowaniu na konto fundacji za udział wychowanków - Rada Rodziców MDK przełała 250 zł (po 10 zł za każdego uczestnika naszego skromnego wydarzenia). Nasz datek pomoże fundacji działać na rzecz dzieci i młodzieży, dołożyliśmy swoją małą cegiełkę, aby zapewnić im pomoc, wsparcie finansowe i zaspokoić brakujące potrzeby.

Dziękujemy wychowankom sekcji Klub X, Wolontariat Młodzieżowy oraz uczniom Szkoły Podstawowej nr 61 za wspólne czynienie dobra!

Anna Gryglewicz



Program edukacji rówieśniczej i rodzinnej „Korniszona”

W STRONĘ WARTOŚCI

POŚRÓD SIÓSTR (część 1)

W tym roku większość z nas była „skazana” na wakacje w Polsce. Była to okazja aby odkryć uroki naszego kraju. Ja, zamiast zwiedzać, postanowiłem poświęcić swój wolny czas na służbę ubogim w myśl charyzmatu Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety. Kim są elżbietanki? I jak ja się tam znalazłem w trakcie wakacji? Te dwa pytania to synteza pierwszej części felietonu poświęconego temu niezwyklemu przeżyciu. Zapraszam do przeczytania :)

Historia elżbietanek zaczyna się na Śląsku. I połowa XIX wieku – Prusy, olbrzymie przemiany społeczne i gospodarcze. Industrializacja, upadają drobni producenci, a chłopci uciekają do miast w poszukiwaniu szansy na lepsze życie. Te wszystkie czynniki sprawiają, że kapitalizm dziewiętnastowieczny staje się systemem wyzysku. Rzesze proletariuszy, ludzie chorzy i biedni są pozostawieni na pastwę losu. Niedostatek mieszkaniowy i kiepskie warunki sanitarne potęgują skalę problemu. Tyfus i cholera zbiera śmiertelne żniwo. Wówczas, w 1842 roku, Klara Wolff, tercjarka franciszkańska, która całe swoje dotychczasowe życie poświęciła na służbę chorym i ubogim, powołuje do istnienia stowarzyszenie dla terenowej pielęgnacji chorych, które działa na terenie Nysy. Do stowarzyszenia dołączają Matylda Merkert i jej rodzona siostra Luiza Maria oraz Franciszka Werner. Wkrótce stowarzyszenie przeradza się w zgromadzenie zakonne, któremu przyswieca idea pomocy każdemu potrzebującemu. Niezależnie od wieku, stanu i wyznania.

Założycielki jednakże nie mają łatwo. Władze pruskie w 1810 r. dokonały kasaty wszystkich zakonów, więc są one pierwszym rodzinnym zgromadzeniem na Ziemi Śląskiej. Sam Kościół także nie pomaga. „Szare siostry”, jak zostają początkowo nazwane, mają napięte relacje z duchowieństwem nyskim. Kler próbuje wyeliminować ideę nowego zgromadzenia. Siostry w zamyśle hierarchów mają zostać przyłączone do zgromadzenia boromeuszek, trafiają do Pragi. Cały majątek młodego zgromadzenia trafia w obce ręce. W międzyczasie umiera na tyfus, podczas służby chorym w Prudniku, Matylda Merkert. W Pradze Klara nie jest w stanie się wyrzec swojego życiowego ideału. Opuszcza boromeuszki, ale nie może działać w Nysie ze względu na wcześniej wspomniane zatargi z duchowieństwem. Wyjeżdża do Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie zakłada nowe stowarzyszenie na wzór nyskiego. Pozostałe założycielki w 1850 r. podejmują decyzję, że one również nie są w stanie żyć u boromeuszek i opuszczają zgromadzenie, wracając do Nysy. Była to niezwykle odważna decyzja, gdyż boromeuszki kontrolowały ich cały majątek. Franciszka Werner i Maria Merkert zaczynają działać na nowo w Nysie całkowicie od zera, nie mają nawet gdzie spać. Władze kościelne Nysy torpedują ich starania. Na ratunek przychodzą władze cywilne i wpływowi obywatele. Całe miasto wstawa się za Siostrami i udaje się wygrać konflikt z hierarchami nyskimi. Patronką odrodzonej wspólnoty zostaje św. Elżbieta Węgierska. Siostry zaczynają na nowo pomagać chorym i ubogim, a po krótkim czasie do dwóch nieugiętych wojowniczek przyłączają się nowe dziewczęta.



Matka Klara Wolf
1805-1853



Matka Maria Merkert
1817-1872



Matka Franciszka Werner
1817-1885



Matka Matylda Merkert
1813-1846

W tym samym czasie mocno choruje, a następnie umiera na udar mózgu Klara Wolff. Los uśmiecha się jednak do nyskich Sióstr – władza pruska wyraża aprobatę dla ich działań. Parę lat później, w 1859 roku, biskup Förster zatwierdza Siostry jako stowarzyszenie. Maria zostaje wybrana pierwszą Matką Przełożoną Generalną w historii Zgromadzenia. W 1864 r. Siostry uzyskują prawa korporacyjne od króla Prus. Jest to moment przełomowy. Następuje wielki wzrost wspólnoty, w ciągu kolejnych paru lat powstaje 80 nowych domów w całych Prusach. Poznań wita trzy Siostry w 1871 r. W tym samym roku papież udziela aprobaty Zgromadzeniu. Matka Maria i Franciszka Werner w ciągu swojego życia doprowadzają do utworzenia z niczego ogromnej wspólnoty, liczącej prawie pół tysiąca Sióstr. Po śmierci Matki Marii Franciszka zostaje przełożoną generalną i spędza ostatnie lata życia starając się o zatwierdzenie Zgromadzenia przez papieża. Za jej życia to się nie staje. Kolejną przełożoną zostaje Matka Melchiora Klammt. 26 stycznia 1887 r. papież Leon XIII zatwierdza Zgromadzenie. Przez następne parędziesiąt lat Siostry rozwijają swoją wspólnotę, pomagają biednym, chorym i opuszczonym dzieciom w całych Niemczech, a po odzyskaniu niepodległości – w Polsce. W 1924 r. Siostronom zatwierdzono Konstytucję i tym sposobem stają się nareszcie pełnoprawnym zgromadzeniem na prawie papieskim.

Międzywojnie. Teraz przenieśmy się na chwilę z historią bezpośrednio do Poznania, gdzie Siostry są już parędziesiąt lat przy ul. Łąkowej. Pomagają mieszkańcom miasta na wiele sposobów. Między innymi prowadzą szpital, w którym leczeni są zwykli ludzie, ale również bardzo wpływowi, jak prymas Hlond czy prezydent Cyryl Ratajski. Na Łąkowej żyje siostra Maria Włodzimira, która pomaga dzieciom w najbardziej patologicznych dzielnicach Poznania. Kocha ludzi, prowadzi dzienniczek, a jej życie jest życiem świętej (obecnie trwa proces beatyfikacyjny). Umiera ona niestety podczas II wojny światowej, w młodym wieku trzydziestu paru lat, z powodu bardzo zaawansowanej gruźlicy płuc.

Druga wojna światowa to najstraszniejsze lata ubiegłego wieku. Siostry również cierpią duże represje, trafiają do aresztów i obozów pracy. Jednakże najtragiczniejszym momentem w historii Zgromadzenia jest końcówka wojny, rok 1945. Gdy III Rzesza chyli się ku upadkowi, Armia Czerwona dokonuje zbrodni w Polsce. Na terenie archi-

diecezji wrocławskiej zostaje zamordowanych dziesięć Sióstr, które giną śmiercią męczeńską w obronie Boga, ludzi i wartości, w jakie wierzą.

Okres PRL-u to nieustające represje, odbieranie majątku Zgromadzeniu. Siostry tracą między innymi szpital na Łąkowej, który za rządów komunistów jest doprowadzony do ruiny. Członkinie Zgromadzenia, które w dużej liczbie są pielęgniarkami, są zwalniane z pracy. Wiele jest przesłuchiwańych i przetrzymywanych. Elżbietanki jednak przetrwały okres komunizmu w Polsce i od 1989 r. prężnie się rozwijają. Obecnie Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety prowadzi działalność w Polsce, Niemczech, Czechach, Włoszech, Danii, Szwecji, Norwegii, Izraelu, Palestynie, Brazylii, Rosji, Litwie, Ukrainie, Gruzji, Boliwii, Kazachstanie, Paragwaju, na Węgrzech i w Tanzanii.

Nadszedł teraz czas aby wytłumaczyć, skąd się o elżbietankach wiedziałem i jak wkręciłem się do budynku Zgromadzenia na Łąkowej. Pierwszy raz zetknąłem się z Siostrami w Izraelu. W murach Starej Jerozolimy prowadzą jeden z domów w Ziemi Świętej. Elżbietanki oferują wynajem pokoi dla pielgrzymów i turystów. Z tej oferty wraz z rodziną skorzystałem w 2018 r. U Sióstr mieszkaliśmy parę dni. Wtedy wówczas dowiedziałem się od mojej mamy, że w naszej rodzinie były kiedyś elżbietanki: siostry Sebastiana i Damazja. Obie żyły około stu lat, ustanawiając rodzinne rekordy długości życia. Parę lat minęło, nadszedł rok 2021, bardzo ważny w moim życiu – nawróciłem się. Na początku tego roku poczułem również potrzebę pomocy kogoś, zaangażowania się w coś. Wtedy odkryłem, że Siostry na Łąkowej na skutek pandemii w niesamowitym stopniu rozwinęły swoją jadalnię dla ubogich. Kiedyś serwowały w małych pokojach jedynie gorące obiady, teraz dodatkowo oferują inne produkty spożywcze (prowadzony jest mały ryneček), pomoc prawną, fryzjera, pomoc w znalezieniu pracy, magazyn z ubraniami, pomoc przedmedyczną i wiele innych form pomocy. Ostatnio były także szczepienia. Jadalnia dla Ubogich św. Elżbiety jest największym tego typu miejscem w Poznaniu. Od poniedziałku do piątku wydawane są posiłki ponad 300 osobom dziennie. Uznałem wówczas, że to jest to. Zaangażuję się w pracę u elżbietanek. Wolontariat na Łąkowej był wymagający, ale jednocześnie niezwykle satysfakcjonujący (o szczegółach pracy w jadalni w kolejnej części). Pod koniec czerwca dowiedziałem się od Sióstr, że organizują po raz pierwszy w swojej historii obóz. Bez wahania postanowiłem się zapisać. Tak trafiłem na miesiąc w mury Łąkowej 4, ale o tym w kolejnym numerze Korniszona.

**Bartosz Sobieniak, 48
LO im. Edwarda Dembowskiego**



HIERARCHIA I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Hierarchia z definicji to kolejność rzeczy lub zagadnień od najważniejszych do najmniej ważnych. Oznacza też ustanowienie ważności stanowiska albo władz urzędowych, służbowych lub kościelnych. W ludzkich społecznościach hierarchia była od zawsze i każdy przedszkolak jest o tym uświadomiony. Zaczyna się od małych rzeczy, jak na przykład liczba cukierków która nie zawsze zostaje sprawiedliwie podzielona, a kiedy dorastamy, zaczynamy zauważać, jak często ludzie korzystają z piastowanej funkcji dla swojej korzyści. Prawda jest taka że ludzie są pyszni.

Jednym z przykładów podziałów społecznych jest podejście do płci w dawnych czasach. Ucząc się historii można zauważyć, że główną rolę grają w niej mężczyźni. Kobiety były uznawane za dodatek. Ale czy tylko w przeszłości? Teraz w szkole to dziewczynom każe się zakrywać i chować kolana by nie „rozpraszały” chłopców, zamiast edukować młodzież jak szanować innych nie zważając na ich płęć. Traktowanie kobiet jako w pewnym znaczeniu gorsze było i jest, ale starajmy się temu zapobiegać w przyszłości. Nierówne traktowanie ze względu na płęć nie jest jedyną nierównością, widoczną w społeczeństwie. Wracając do szkoły, typowym przykładem jest relacja uczeń vs nauczyciel. Od zawsze młodzież była nauczana, by szanować pedagogów niezależnie od ich czynów. Czas leci, a młodzież coraz bardziej zaczyna zauważać toksyczność tej relacji. Z doświadczenia wiem, że kiedy wypowiedzisz swoje zdanie, które jest niezgodne ze zdaniem nauczyciela, jesteś posądzany o pyskowanie

albo rozwalanie lekcji, nauczyciel zawsze musi mieć rację tylko dlatego, że jest nauczycielem... Szkoła na ogół jest uważana za najważniejszą część życia dziecka, ale prawda jest taka, że to tylko w pewnym sensie. Kiedyś uczniowie zgadzali się na ich ponížanie, lecz teraz jesteśmy bardziej świadomi swoich praw i wielu z nas nie godzi się na niesprawiedliwość.

Korzystanie z swoich funkcji jest również wykorzystywanie w na przykład w prawie. Przypadków kiedy na przykład jakiś polityk wsiałd za kółko pod wpływem, ale wybronił się dzięki swojej pozycji, jest mnóstwo. To też jakiś rodzaj hierarchii, bo przecież w analogicznej sytuacji szary obywatel nie ma szans uniknąć konsekwencji.

Czy rzeczywiście w dzisiejszym świecie jest to, jak mówią niektórzy, nieuniknione? Człowiek człowiekowi powinien być równy, nieważnie czy porównujemy jednego polityka z drugim, czy prezydenta ze sprzedawcą z Żabki. Prawa człowieka nie dzielą się ze względu na pozycję w społeczeństwie. Traktujmy siebie i innych z szacunkiem, niezależnie od pochodzenia, płci, wykonywanej pracy czy orientacji seksualnej, nie bójmy się konsekwencji jeśli nasze czyny są słuszne i zgodne z prawem.

Zuzanna Chyła

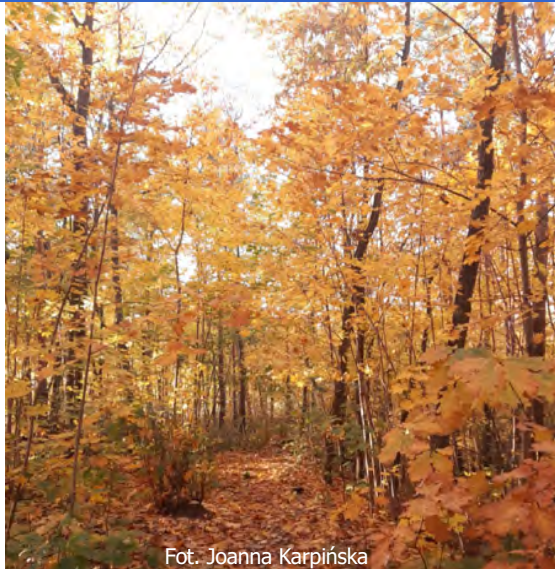
ałt
saj
der

RÓWNOUPRAWNIENIE, CZYLI CZY POWRACAMY DO ŚREDNIOWIECZA?

Ostatnio spotkałam się z bardzo przygnębiającą i uwłaczającą sytuacją, podczas której zostałam wyśmiana i upokorzona. To zdarzenie sprawiło, że zaczęłam wątpić w siebie i swoje możliwości. Przeształam być pewna, że w ważnych chwilach mojego życia zostaną sprawiedliwie oceniona. Uogólniając całą historię – płęć przeciwna nie dała mi dojść do głosu ze względu na to, że jestem dziewczyną. Jeden z chłopców powiedział: „Dziewczyny to dziewczyny, ich nie warto słuchać”. Zdenerwowana, ponieważ trafiono w mój czuły punkt, obrzuciłam się i odkrzyknęłam, że już nie mieszkamy w średniowieczu. Zdziwiło mnie, że moje koleżanki nie zareagowały. Jeszcze lepiej, zaczęły śmiać się pod nosem. Przyłóczona ogromnym mętklikiem w mojej głowie nie wiedziałam co zrobić, gdy pozostali śmiali się już głośno.

Moja reakcja może wydawać się infantylna. Przecież, nie przesadzajmy, nic wielkiego się nie stało. Może i jest to prawdą, lecz nie potrafię pogodzić się z faktem, że powszechnie dozwolone jest obrażanie drugiej osoby, znieważanie jej za coś, na co nie ma wpływu. Czy jestem winna temu, że urodziłam się dziewczyną? Na to pytanie chyba nie muszę odpowiadać. Do dziś mam w głowie pytanie: Dlaczego? Dlaczego żadna z dziewczyn nie zareagowała? Dlaczego chłopcy w ogóle coś takiego sprowokowali? Na samą myśl o tamtym wydarzeniu chce mi się płakać. Nie tylko ze smutku, ale i z bezsilności. Jeśli moja płęć śmieje się, mimo że cierpi, kiedy zostanie obrażona, skompromitowana, to co mam zrobić, aby to się zmieniło w stosunku do mnie? Jak mam w pojedynkę zmienić ogólny pogląd, że dziewczyny, kobiety jako „płęć piękna” są za słabe, by cokolwiek osiągnąć?

Gdyby tak porządnie się zastanowić, to nie po raz pierwszy doświadczyłam braku równouprawnienia. W przeszłości już wiele razy spotkałam się z określeniami typu: „Jeśli będziesz się tak zachowywać to kiedyś żaden facet cię nie zechce” lub „Bez mężczyzny to nie to samo”, czy „Chłopaki zrobią to lepiej”. Takie stereotypy były mi wtłaczane do głowy już od najmłodszych lat, więc trudno się dziwić, że przez tak długi czas uważałam to za coś naturalnego. Ale tamtego dnia zapaliła mi się



Fot. Joanna Karpińska

w głowie czerwona lampka. Pokazała mi wyraźną, wręcz neonową informację, że coś chyba jest nie tak.

W dalekiej przeszłości, gdy nasi przodkowie walczyli w wojnach z mieczami czy szablami, nie było miejsca na to, aby armia dowodziły kobiety. Musiały zajmować się potomstwem, dbać o ognisko domowe. Wtedy ludzie byli na tyle zafasowani wojną, że nie przywiązywali wagi do tego, czy jest równouprawnienie, czy go nie ma. Tak naprawdę, w ogóle nie mieli pojęcia o możliwości jego istnienia. Jak wiadomo nam z biologii, mężczyźni są inaczej zbudowani, dlatego też są w większości przypadków silniejsi i sprawniejsi fizycznie. W tamtych czasach te dwa czynniki liczyły się najbardziej. Lecz czy rola kobiety wciąż ma być sprowadzana do stereotypowego siedzenia w kuchni i niewychodzenia poza jej obręb? Teraz, kiedy nie ma otwartej wojny w naszym kraju

i każdy ma prawo decydować sam za siebie?

I żebym została dobrze zrozumiana, w tym artykule nie oskarżam każdego chłopaka o takie zachowanie, czy myślenie. Mówię jednak o tych „śmiałkach”, którzy pewni swojej „przewagi” płciowej myślą, że wszystko im wolno. Zdaję sobie sprawę z tego, że na tym świecie jest wielu wartościowych chłopców, mężczyzn, którzy mają odbiegające od powyższych poglądy, którzy szanują drugiego człowieka, bez względu na jego płęć. Sama takich znam i są ważną częścią mojego życia. Więc, dziewczyny, apel do was: kiedy coś wam nie odpowiada, nie bójcie się tego powiedzieć głośno. I pamiętajcie, że nikt nie jest w stanie wybrać nic za was. To wy macie pełną kontrolę nad swoim życiem i swoimi wyborami. Nie dajcie sobie wmówić, że możecie mnie. Szczerze mówiąc, jest to tak naprawdę apel do wszystkich ludzi mieszkających na tym świecie.

Ponieważ feminizm nie polega na tym, że kobiety, dziewczyny są lepsze. W feminizmie obie płęć są po prostu sobie równe. Bez żadnych skrajności.

Helena Adrjan



WIEŚCI ZZA MIEDZY CZYLI CO SŁYCHAĆ U SĄSIADÓW

WYSTAWA ROBOTÓW FILMOWYCH

Początek grudnia w Blue City należy będzie do dużych i małych miłośników kina science fiction. Od 29 listopada do 19 grudnia na korytarzach centrum zagości wyjątkowa wystawa. Figury największych idoli filmów o maszynach będą czekać na swoich najbardziej oddanych fanów. Każda figura to efekt niezwykle kreatywnej pracy zespołu inżynierów, którzy zaprojektowali roboty i złożyli. Praca nad każdą figurą zajmowała im średnio kilka tygodni. Inspiracje do stworzenia postaci pochodzą z najpopularniejszych filmów sci-fi, w których główne role odgrywały roboty. Wystawa oferuje pasjonatom fantastyki unikatową możliwość przyjrzenia się swoim bohaterom z bliska. Roboty będzie można spotkać w różnych miejscach w Blue City, co oznacza ogromną przestrzeń do świetnej zabawy i okazję do robienia sobie z nimi zdjęć. Jakie postacie filmowe spotkamy w Blue City:

TRANSFORMERS GREY

Drugi co do wielkości wśród prezentowanych modeli, wyróżnia się elementami karoserii samochodów osobowych użytych do obudowy korpusu. Do budowy tej figury użyto sporo starych amortyzatorów oraz kół zębatach stosowanych w samochodach ciężarowych. W konstrukcji wyróżniają się m.in. ramiona do produkcji których zostały użyte puste butle gazowe.

TRANSFORMERS ŻÓŁTY

Całkowita waga figury waha się między 260 - 290 kg. Oglądając figurę od razu rzuca się

w oczy element wydechu auta osobowego który został użyty do budowy tylnej części figury. Do budowy ramion wykorzystano m.in. tłoki silnikowe używane w silnikach typu diesel.

HOUND (Transformers zielony)

Duży zielono-szary robot o masywnej sylwetce i potężnej budowie ciała. Cała figura waży ok. 240 kg, wykonana została nową technologią. Jej ukończenie wymagało pracy czterech inżynierów i trwało prawie dwa miesiące. Do budowy nóg zostały użyte amortyzatory używane w wielkich maszynach budowlanych. Charakterystyczna broda i części korpusu to m.in. widoczne łańcuchy rowerowe.

TERMINATOR

Najwięcej pracy w wypadku tej figury poświęcił metaloplastyk, który z elementów blachy stworzył dokładną twarz maszyny. Do zrobienia karabinu użyto starych bezpieczników pełniących rolę pocisków.

MATRIX

Charakterystycznym elementem są macki. Warstwa wierzchnia to nic innego jak elementy wielkich odkurzaczy przemysłowych, które przypominają ramiona robota. Głowa powstała z części silnika koparki.

MARVIN

Największym wyzwaniem była głowa figury. Stworzenie idealnego kształtu wymagało najwięcej pracy. Do jej budowy wykorzystano duże arkusze blachy odzyskanej z recyklingu.

SONY

Prosta i dość lekka figura. Twórca starał się, aby jak najlepiej oddawała charakter postaci filmowej.



STAR WARS

R2D2 – najmniejszy w kolekcji, część korpusu to nic innego jak elementy pralki Frani, popularnej maszyny piorącej znanej z każdego polskiego domu. Figura została wyposażona w kółeczka, dzięki którym robot może się poruszać.

C3PO – w całości składa się z jednego elementu blachy pomalowanej na charakterystyczny złoty kolor.

DROID – powstał z zużytych części maszyn rozlicznych. Do zrobienia nóg użyto sporej ilości łańcucha rowerowego.

ŚCIGACZ – maszyna składa się z dospawanych do siebie elementów blachy metalowej. Trzon konstrukcji to praca spawacza, który stworzył niezwykle trwałą konstrukcję.

WALL-E

Mimo małego wzrostu waży ponad 100 kg. Najcięższe elementy to silnik dwupłatowca (samolot), z którego powstał korpus robota.

BOŻONARODZENIOWY JARMARK W BLUE CITY

Tradycyjny Jarmark Bożonarodzeniowy w Blue City jest zapowiedzią zbliżającej się gwiazdki i okazją do zrobienia świątecznych zakupów. Na Jarmarku znajdziemy moc pyszności i specjały, których nie spotka się w żadnym innym miejscu. Jarmarki bożonarodzeniowe są nieodłącznym elementem okresu przedświątecznego. Podobnie jak choinka, przybyły do nas z Niemiec i szybko się u nas "zadomowiły". Organizowane są na największych placach miast, ale również w centrach handlowych. Jarmark Bożonarodzeniowy w Blue City stała się wpisana do przedświątecznego kalendarza. Jest on okazją do zakupu tego, co powinno znajdować się na wigilijnym stole oraz dekoracji świątecznych, bombek i lampek choinkowych.

W tym roku Jarmark rozpoczyna się 6 grudnia i będzie trwał prawie do samej gwiazdki, bo aż do 23 grudnia.

Na Jarmarku w Blue City będzie można spróbować, kupić lub zamówić regionalne specjały: ryby, paszety rybne, paszety podlaskie, pierogi, uszka, barszcz, bigos, swojskie wędliny z wieprzowiny, wołowiny, gęsi i kaczki.



Na straganach znajdują się również sery kozie, korycińskie, góralskie, alpejskie, a także masło i śmietana. Nie zabraknie pieczywa na zakwasie i domowych ciast. Jak co miesiąc wśród wystawców znajdują się pszczelarze, oferując miody ze swoich przydomowych pasiek. Będzie można zaopatrzyć się w wino oraz tradycyjne przygotowywane według staropolskich receptur nalewki.

Wszystkie proponowane produkty pochodzą z takich rejonów Polski jak np. Pomorze, Podlasie, Warmia, Mazury i Roztocze. Na Jarmarkach w Blue City od lat swoje stoiska mają m.in. Gospodarstwo Rodzinne Gremza z Korycina, Gospodarstwo Ekologiczne Sabina i Mieczysław Mąka, Bacówka na Wójciznie, firma Bartłowiżna, Swojskie Jadło z Podlasia oraz Zagroda Roztocze. Natomiast produkty zagraniczne w postaci słodczy, herbat i innych produktów spożywczych zaoferują wystawcy z Węgier, Azerbejdżanu i Grecji.

Jarmark Bożonarodzeniowy w Blue City czynny będzie codziennie, od poniedziałku do soboty od 10 do 22, oraz w niedziele handlowe, które w grudniu przypadają 12 i 19 grudnia.

potrawy na święta

tradycyjne jedzenie

świąteczne ozdoby

Zapraszamy na www.bluecity.pl

Dołącz do nas na

[Facebook.com:www.facebook.com/CHBlueCity](https://www.facebook.com/CHBlueCity)

WIEŚCI ZZA MIEDZY CZYLI CO SŁYCHAĆ U SĄSIADÓW

KOLEJKOLAND



29 września wyszliśmy z MDK „Ochota” do naszego zaprzyjaźnionego Blue City. W tym czasie odbywała się tam wystawa „Kolejkoland”. Prezentowano na niej makiety, tak realistyczne, że miało się wrażenie że patrzy się na scenę z prawdziwego życia, tylko w mniejszej skali! Było tam też bardzo dużo różnych atrakcji dla dzieci. Na przykład można

elektrycznych (jedna z nich była dostępna do kierowania), obejrzeć jakiś film („Tomek i przyjaciele”, więc raczej dla młodszych) oraz zbudować tor z drewna. Makiety były bardzo realistyczne. Przedstawiały Alpy. My mieliśmy jeszcze wykład z kolejnictwa. Pan opowiadał nam między innymi o typach wagonów, lokomotyw, maksymalnych prędkościach pociągów, różnych torach...

Trochę irytujące były małe dzieci, które wrzeszcząc na całe Blue City biegały z jednej strony na drugą szukając pociągów. Ogólnie było ciekawie. Jeśli lubicie pociągi, to możecie zajrzeć sobie na stronę organizatora wystawy i tych prawdziwych pasjonatów – www.kolejkoland.pl. Ekipie Korniszona bardzo się podobało to wydarzenie.

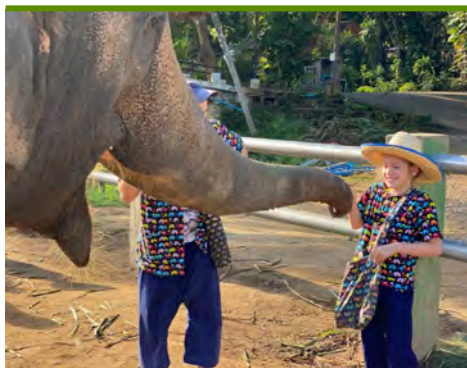
Adam Kociubiński



Fot.: Anna Gryglewicz

KORNISZONA PODRÓŻE MAŁE I DUŻE

TAJLANDIA



Drugą z super rzeczy było Long Neck Village. Jest to wioska, w której od bardzo dawna jest tradycja, że co rok każda kobieta zakłada jeden złoty (nie z prawdziwego złota) pierścień na szyję. Nigdy nie zdejmują tych pierścieni. Kiedyś chroniły je przed tygrysami i wszystkimi innymi niebezpieczeństwami. Ale teraz, gdy tygrysów już nie ma, jest to tylko taka tradycja. Ludzie tam są bardzo biedni. Zarabiają dzięki turystyce i dzięki temu, że turyści czasami kupują od nich rzeczy i/lub robią sobie zdjęcia za drobną opłatą. Kobiety sprzedają najczęściej szale. Raz, gdy przechodziłszy pomiędzy domkami, pomachałam jednemu małemu dzidziusiowi, a on tak się przestraszył, że rzucił w mojego tatę starym kłapkami i wbiegł do swojej drewnianej chatki. Dziwne i smutne. Była tam ohydna toaleta z pajakami i okazało się, że dla mieszkańców wioski to była luksusowa toaleta dla gości. Ale było naprawdę ładnie, a dzieci stamtąd mają swój plac zabaw.



Tajlandia to kraj, który większości ludzi kojarzy z jeżdżeniem na słońiach. Leży koło Birmy (Mjanmy), Wietnamu i Malezji, tuż obok Morza Południowocchińskiego.

Najfajniejsze przygody w życiu przeżyłam właśnie tam. Jedną z najlepszych rzeczy były słońie. Cała nasza rodzina pojechała do takiego jakby słońiowego ośrodka. Około 10-15-osobowa grupa przebrała się w stroje do wybrudzenia, które dostawało się tam, i szła karmić słońie. Wszyscy dostaliśmy torby z jedzeniem dla słońi i poszliśmy je nakarmić. Ja na początku trochę się bałam, ale potem zobaczyłam jakie to fajne. Super się bawiłam! I miałam swoich słońiowych ulubieńców. Potem, gdy wszystkim skończyło się jedzenie, poszliśmy nad takie małe jezioro. Słońie wchodziły do niego, a my z nimi pluskaliśmy się w wodzie. Później wzięliśmy szczoty i zaczęliśmy szorować naszych wielkich podopiecznych. Tata podszedł mnie żebym mogła umyć grzbiet słońiowi. Gdy skończyliśmy, panowie prowadzący wsiedli na słońie i mieliśmy śmigus-dyngus, bo słońie ochlapły nas wodą przez swoje trąby. Nauczyłam się wielu rzeczy, ale najważniejsza jest taka, że słońie robią kupy wielkie jak stodoła.

Najpiękniejszą rzeczą w Tajlandii są świątynie budowane dla Buddy. Król każe w niego wierzyć (nie tak tak jak w Polsce, u nas każdy może zdecydować czy chce wierzyć czy nie), a jak ktoś nie wierzy, to idzie do więzienia. A gdy ktoś się bardzo sprzeciwia religii i na przykład pisze o niej krytycznie w necie i w gazetach, to wtedy może być nawet kara śmierci. Najwspanialsze świątynie to: niebieska, biała i złota. Są tam wspaniałe rzeźby, zabytki, prawdziwe kamienie szlachetne i złoto. Widoki są naprawdę niesamowite, a przy białej świątyni jest jezioro. W niebieskiej jest gigantyczny posąg Buddy. W złotej, jak sama nazwa wskazuje, większość rzeczy jest złota. A we wszystkich domach musi być taka jakby szopko-domek-minikapliczka. No takie coś.

I są jeszcze jaskinie i góry Buddy. W takiej jednej jaskini jest bardzo dużo posągów Buddy i ludzie je tam znoszą. Trzeba do niej wchodzić

na bosaka, bo inaczej możesz zapłacić mandat.

Wspinaczka po wodospadzie to była jedna z najfajniejszych rzeczy! Pojechaliliśmy do takiego ośrodka wodospadowego. Był taki jeden wodospad, trochę jak potok, ale wodospadowaty. Schodziło się w dół tej jakby rzeki, a potem była zjeżdżalnia po ciągle zalewanych wodą płaskich kamieniach. Ale najfajniejszy był taki wodospad, z którego samej góry zwisały liny. Każdy chwycił się liny i wchodził po kamieniach. Bez żadnych zabezpieczeń! Ja co chwilę zjeżdżałam sobie w dół i znowu wchodziłam do góry, bo było tak super! Nagle jeden pan koło nas przez przypadek puścił linę i zaczęła zjeżdżać. Tata chwycił go za rękę i podciągnął go do liny. Poczucie, że gdyby nie tata, koleś leżałby na dole bardzo poobijany, było straszne. Ale potem, gdy już weszliśmy, zaczęliśmy znowu schodzić, co w moim przypadku wyglądało jak zjeżdżanie po kamieniach, a później okazało się nie najlepszym pomysłem, bo niektóre kamienie nie były zupełnie płaskie. Ale i tak było super! **Lucja Angier**

SŁOWACJA

Co prawda wakacje już dawno minęły, ale chciałam trochę o nich opowiedzieć, aby zatrzymać choć jeszcze na chwilę ten wakacyjny klimat.

W tym roku na przełomie lipca i sierpnia pojechałam w Tatry na Słowację. Mimo że wcześniej byłam już w polskich Tatrach, słowackie robią trochę inne wrażenie. Jak już wiecie (a może nie?), bardzo lubię chodzić po górach, dlatego takie wędrowki są dla mnie samą przyjemnością. Z racji tego, że wynajęliśmy sobie razem z rodzicami i siostrą domek, który znajdował się dziesięć minut pieszo od Słowackiego Raju, to część wyjazdu chodziliśmy po Tatrach, a część po wspomnianym parku krajobrazowym. Słowacki Raj to park narodowy z wieloma pięknymi górkami szlakami, które ciągną się wśród przeróżnych skał, rwących rzek i malowniczych krajobrazów, lecz przede wszystkim można tam spędzić świetny czas na łonie natury. Na szlakach chodzi się po drewnianych szczeblach, metalowych drabinach, przez rzeczki i wodospady. Wąskie ścieżki i wąwozy robią ogromne wrażenie. Trasa jest na tyle duża, że na większości nie ma tłoku, co jest bardzo dobre, gdyż można podziwiać przyrodę i cieszyć się czasem spędzonym na świeżym powietrzu. Natomiast, jeśli chodzi o Tatry Słowackie to prezentują się one troszkę inaczej, ponieważ o ile w Słowackim Raju chodziło się wąwozami, tak w Tatrach zdobywa się już całkiem duże wysokości. Największą różnicą między tymi dwoma



lokalizacjami są widoki, bo w górach wysokich jednak są one o wiele bardziej ekscytujące i zapierające dech w piersiach. Udało mi się wejść na Koprovsky štít (po polsku nazywa się on Koprovsky Wierch) i ma wysokość 2363m. n. p. m. Naprawdę mogę wam zagwarantować, że krajobrazy, które towarzyszą podróży od podnóża góry aż do szczytu, są absolutnie cudowne. Gdy wędrowałam wśród szczytów i podziwiałam panoramę

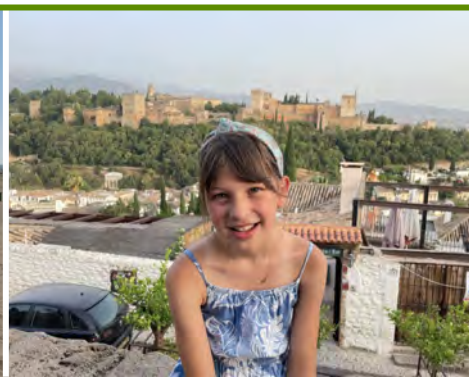
Tatr, zarówno słowackich, jak i polskich, czułam się naprawdę wolna i dawało mi to ogrom energii na dalszą podróż. Jeżeli natomiast nie jesteście fanami długich pieszych wędrowek, to spokojnie, bo Słowacja ma do zaoferowania bardzo dużo.

W czasie mojego pobytu odwiedziłam drugie co do liczby ludności, zaraz po Bratysławie miasto na Słowacji – Koszyce. To miasto ma bardzo unikalną i imponującą starówkę, po której spacer jest bardzo przyjemny i relaksujący. Można zobaczyć tam takie zabytki, jak na przykład Katedra Św. Elżbiety. Ta gotycka budowla jest na pewno jedną z ładniejszych i warto zobaczyć ją wieczorem, kiedy jest podświetlona. Wieża katedralna to miejsce, które też polecam odwiedzić, ponieważ rozpościera się stamtąd panorama na całe Koszyce. W cieniu katedry znajduje się Kaplica Św. Michała. Ma bardzo bogaty wygląd i ciekawą historię. Wracając na ulicę główną, przy której znajdują się liczne klimatyczne kawiarnie i restauracje na powietrzu, w których można zjeść dosłownie wszystko, stwierdziłam, że Koszyce to miasto bardzo przyjemne, spokojne i idealne do odpoczynku po całym tygodniu spacerowania po górskich szlakach.

Ogółem Słowacja zrobiła na mnie bardzo pozytywne wrażenie, sądzę, że dobrze wykorzystałam spędzony tam czas i na pewno gdy tylko nadarzy się okazja będę tam wracać.

Martyna Knefel

KORNISZONA PODRÓŻE MAŁE I DUŻE HISZPANIA



W czasie wakacji byłam w Hiszpanii. To piękny kraj, w którym się dużo dzieje. Są tam m.in. Sefilla, Granada (miasto owocu granatu), Tarifa, Nerja, Barcelona i Madryt. W Tarifie łączą się dwa morza – Ocean Atlantycki i Morze Śródziemne. W Granadzie jest bardzo znana Alhambra, czyli zamek hiszpański wybudowany w latach 1232- 1273. Jest to ładny zamek, w którym jest mnóstwo mozaik i wyciętych w drewnie różnych zaplątanych pięknych kształtów i szlaczków. Są tam też piękne ogrody z małymi fontannami. W Nerja byłam w tajemniczej jaskini, w której przez miliony lat tworzyły się piękne stalaktyty. Odkryta została przez kilku chłopaków, którzy podobno zauważyli wejście do niej na cmentarzu i zeszli na dół po linie.

Oprócz tego, byliśmy w aquaparku. To fantastyczny park wodny, w którym są różne zjeżdżalnie i baseny. Jedna zjeżdżalnia była taka stroma, że w głowie się kręciło. Byliśmy też

oczywiście nad morzem. Razem z tatą nurkowałam i pływałam. Raz nawet, wydaje mi się, że widziałam prawdziwą ośmiornicę! Poza tym widziałam karaluchy, papugę (w Nerja na balkonie Europy), małpy i delfiny. Delfiny. Właśnie! Kiedy nocowałam na żaglówce, w dzień zrobiliśmy rejs na morzu. Wtedy nagle zobaczyliśmy delfiny. Najprawdziwsze delfiny! Pływały w naprawdę sporym stadzie. Przyplwały raz blisko do statku, a raz odpływały. Ja ze swoją rodziną nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jednak to były dzikie delfiny, nie mogliśmy ich dotykać i z nimi pływać. Pan, który prowadził ten statek, wytłumaczył nam, że najczęściej delfiny przyplwają wieczorem i że w Hiszpanii to normalne.

Byliśmy też na Gibraltarze, wyspie tak naprawdę angielskiej, ale graniczącej z Hiszpanią. Tam oczywiście były małpki. Wspinały się na głowy turystów i można je było dotykać. Moja mama chciała mieć zdjęcie z jedną z małpek,

ale miała na sobie plecak i kiedy usiadła obok małpki, to ona odsunęła mamie suwak od plecaka. Ale wszystko dobrze się skończyło, bo mama w dobrym momencie się odwróciła, a małpka puściła suwak i udawała niewinną.

Bardzo popularny w Hiszpanii deser to churros, czyli takie ciasto moczone w gorącej czekoladzie. Niestety nie jadłam ich tego roku, bo zabrakło nam czasu. Można tam też zobaczyć taniec nazywany flamenco. Czyli taki typ tańca stworzony przez Romów. Kiedy kobiety tańczą, mają na sobie falbaniastą suknię mniej więcej do stóp. Do tego wyposażone są w wachlarz i buty na obcasach, które stukają o parkiet. Mężczyźni tańczą najczęściej w garniturach, mają też, tak jak kobiety, specjalne buty.

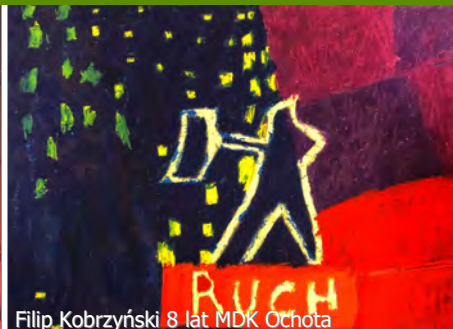
W Hiszpanii jest też król. Nazywa się Filip IV Burbon i został królem w 2014. Jego żona, czyli królowa, ma na imię Letycja.

Noemi Kargol

KORNISZONOWA KISZONKA COOLTURALNA

MIASTO ŚWIATEŁ I KOLORÓW

Dzisiaj w rubryce „Miasto świateł i kolorów” opowiemy wam o neonie gazeciarskim, kolejnym zabytkowym neonie, który po wielu latach powrócił w warszawską przestrzeń miejską. A właściwie nie tyle powrócił, co zaświecił ponownie, gdyż pozostałości tej świetnej reklamy (metalowy stelaż bez świecących rurek) wisiały przez cały czas w tym samym miejscu przy ulicy Marszałkowskiej obok placu Konstytucji. Świetny ludzik z gazetą w ręku reklamował znajdujący się w bramie obok kiosku



Filip Kobrzyński 8 lat MDK Ochota

Nie zachowały się niestety plany neonu, więc jego kolory odtworzono na podstawie nielicznych kolorowych zdjęć z lat sześćdziesiątych i wspomnień starszych warszawiaków, którzy pamiętali go sprzed lat.

W grudniu 2013 roku odbyło się uroczyste włączenie neonu, uświetnił tę okazję koncert dawnych warszawskich piosenek i poczęstunek – przechodniów częstowano piernikami w kształcie ludzika z gazetą! Zachęcamy do obejrzenia neonu na żywo, jest naprawdę piękny.

Piotr Maj

A w następnym numerze „Korniszona” oczekujecie finałowej relacji z realizacji kończącego się wkrótce projektu „Miasto świateł i kolorów”.



Ania Przyborek 6 lat MDK Ochota

z gazetami, należący do jedynej wówczas w Polsce, a istniejącej do dziś sieci dystrybucji prasy „Ruch”. Przez sąsiednie podwórko wchodziło się do mieszczącego się obok kina „Polonia”. Obecnie działa tu Teatr „Polonia”, który założyła i prowadzi znana aktorka Krystyna Janda.

Wróćmy jednak do neonu z gazeciarskim. Jest to jeden z najstarszych warszawskich neonów. Powstał na przełomie lat 50 i 60 XX wieku. To tak zwany neon semaforowy, czyli zamontowany pionowo wzdłuż ściany budynku. Tak jak wiele innych reklam świetlnych w naszym mieście, po kilkudziesięciu latach zgasł i przez kolejne dwie dekady czekał na lepsze czasy. Na szczęście dzięki grupie entuzjastów i miłośników neonów oraz przy wsparciu finansowym jednego z banków udało się go wyremontować.



Ania Ciepłowicz 8 lat MDK Ochota

KORNISZONOWA KISZONKA COOLTURALNA



„DIUNA”

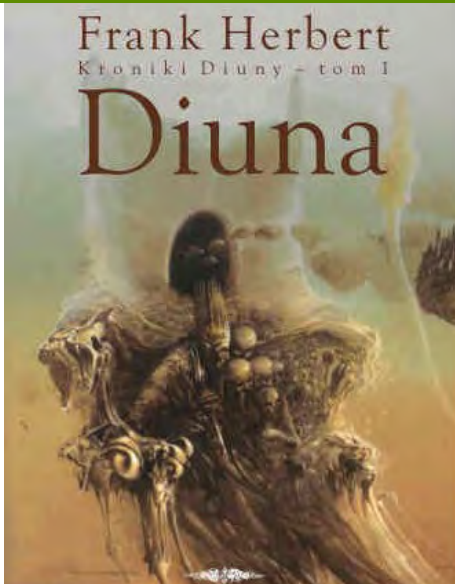
Recenzowanie klasyki nie jest łatwe. Nowe książki nie dźwigają na swoich barkach wszystkich motywów z innych książek tego samego gatunku, nie są również obciążone taką ciężką jak starsze pozycje – nawet jeśli na obecną chwilę wydają się dobre, nie wiadomo czy przetrwają próbę czasu.

Diuna Franka Herberta nie jest nawet książką bardzo starą, oryginalne wydanie ukazało się w 1965 roku, jednak przez te wszystkie lata dorobiła się statusu kultowej, a jej autor – prekursora science fiction. Postaram się jednak napisać o niej cokolwiek, bo biorąc pod uwagę filmową premierę myślę, że wiele osób zastanawia się czy warto sięgnąć po tę lekturę.

Akcja *Diuny* rozpoczyna się w momencie otrzymania przez ród Atrydów pod władanie planety Arrakis (zwanej również *Diuną*), będącej źródłem melanżu – przyprawy o szerokich zdolnościach zdrowotnych. Sprawy jednak nie toczą się po myśli Atrydów, a ród Harkonnenów, który wcześniej rządził pustynną planetą, zamierza odebrać to, co kiedyś należało do nich.

Wbrew pozorom *Diuna* nie rozpoczyna się od trzęsienia ziemi ani szybkiego ataku Harkonnenów, który nadałby jakiegoś pędu fabule. Jedna trzecia tej liczącej ponad sześćset stron książki to właściwie sama ekspozycja. Nie tylko świata, ale również, a może przede wszystkim, bohaterów. Są momenty, w których *Diuna* odrywa się od bardziej przyziemnych spraw, opowiadając o złożonych elementach polityczno-społecznych świata przedstawionego, jednak przez cały czas nie zapomina o tym, że podstawą każdego elementu składowego świata są ludzie. Oczywiście, Frank Herbert mógłby od razu przejść do rzeczy i postawić na wojnę totalną od pierwszej strony, ale nie zbudowałby wtedy więzi pomiędzy czytelnikiem a fikcyjnymi postaciami.

Nie mówię, że pod względem konstrukcji sylwetek bohaterów jest to najlepsza książka, ale zastanówcie się ile powieści z tego gatunku (fantastyki) przypomina o tym, że czytelnicy nie szukają w fikcji podręcznikowych opisów wymyślnego świata, a bohaterów i emocji. Każdy bohater ma więc swoją motywację do działania, nikt nie robi czegoś, bo tak pasuje do fabuły. Wszystkie podjęte decyzje są obciążone silnymi konsekwencjami,



które wywierają wpływ na resztę postaci. Jak wspomniałem wcześniej, akcja „stoi” w miejscu do około dwusetnej strony. Nie oznacza to jednak nudy, bo Herbert doskonale buduje napięcie. W okolicach pięćdziesiątej strony dowiadujemy się, że Leto zostanie zdradzony. Nie wiemy w jakich okolicznościach i kiedy, wiemy natomiast, kto tego dokona. I tak czekamy. Jedną, drugą stronę... Potem piętnastą, pięćdziesiątą i siedemdziesiątą, a zdrada nie następuje, aby wreszcie uderzyć w najmniej spodziewanym momencie.

Poza tym w przeciągu tych dwustu stron, zanim dojdzie do kluczowego dla fabuły wydarzenia, nie brakuje innych, nie mniej znaczących scen, w których czuć emocje, bo, nie zważając na niesamowitość, interesujący świat *Diuny*. Frank Herbert to po prostu bardzo dobry pisarz z wybitnym warsztatem i czytelnie jego książki jest ogromną przyjemnością.

Diuna to również niesamowite dialogi, co ciekawe, nie zawsze szczerze. Bohaterowie książki Herberta, jak każdy człowiek, mają pewne przewinienia, wady i rzeczy, o których woleliby nie wspominać, przez co zaskakująco często kłamią. Ich prawdziwe myśli poznajemy przez liczne monologi wewnętrzne.

Gdy minie już te dwieście stron, czeka nas przyspieszenie akcji. Wtedy również zwiększa się ilość wątków i stopień ich skomplikowania. Do

opowieści związanych z Atrydami dochodzą te o ich największych przeciwnikach – Harkonnenach, a także Fremenach, czyli rdzennych mieszkańcach planety Arrakis. Z nimi wiąże się wiele ciekawych wynalazków i najbardziej fantastyczne tematy, które podejmuje *Diuna*. I pomimo, że Freneni są bohaterem zbiorowym, nie przeszkadza to im być jedną z najciekawszych kreacji z całej książki.

W drugiej połowie książki czekają nas również zmiany w bohaterach, a przede wszystkim w jednym z nich – księciu Paulu Atrydzie, następcy tronu po Leto. Paul, piętnastolatek, musi szybko dorosnąć, aby stawić czoło zagrożeniom, które szykuje dla niego ród Harkonnenów. Im dalej w książkę, tym nie tylko Paul staje się mądrzejszy i dojrzały, ale również jego działania są coraz bardziej zdecydowane. I o ile w pierwszej połowie jest bohaterem pasywnym, który nic nie robi z własnej woli, to w drugiej połowie przejmuje inicjatywę – zaczyna rządzić jak król.

Poza tym z upływem akcji *Diuna* podejmuje coraz więcej tematów związanych z rządzeniem planetą. Zresztą w książce jest bardzo ciekawe stwierdzenie: „Świat wspiera się na czterech filarach... Na naukach mądrych, na sprawiedliwości wielkich, na modlitwach prawych i waleczności dzielnych. Ale to wszystko jest niczym bez władcy znającego sztukę władania.” I o ile pierwsza połowa książki porusza jedynie dwa pierwsze wymienione tematy, to druga skupia się również na pozostałych.

Diuna to jednak nie tylko intrygi, a dużo więcej, czyli sama Arrakis, na której jakimś cudem ludzie (Freneni) są w stanie przeżyć. Wyobraźcie sobie planetę, na której nie ma nic poza piaskiem, skałami i wysokimi temperaturami. Tak wygląda Arrakis i tak wyglądałby świat bez wody, schowanej głęboko pod metrami piachu. Niesamowite jest też to, jak odmienna od Atrydów jest kultura Fremenów, którzy z każdą stroną coraz bardziej mnie zadziwiali.

Diuna to nie jest książka, o której można napisać sto słów, aby w jakikolwiek sposób przekazać czym jest. To skomplikowana, wielowątkowa, porywająca opowieść o zmaganiach ludzi z bezwzględnością innych osób oraz zmaganiach tych samych ludzi z niespokojną naturą pustynnej planety Arrakis. Frank Herbert napisał arcydzieło, które mogę polecić każdemu i możecie mi wierzyć, że będę to robił przy każdej okazji.

Szymon Kornacki

NIE LUBIĘ BRANDONA SANDERSONA

Każdy z nas ma pewnie autora, którego po prostu nie lubi. Może nie podobać nam się jego styl, gatunek, w którym pisze, konwencja, którą obiera, a czasami po prostu z trudnych do określenia powodów jego książki nam nie pasują.

Ja mam tak z Brandonem Sandersonem.

Kim jest Brandon Sanderson?

Niektórzy może nie wiedzą, kim jest autor, którego z takim uporem nie znoszę, więc dla takich osób, przedstawię jego sylwetkę.

Brandon Sanderson to obecnie jeden z najpopularniejszych aktywnych pisarzy fantastyki na świecie. W 2005 roku wydano jego debiutancką powieść *Elantris*. Od tego czasu opublikował około trzydzieści książek, które sprzedały się w ponad siedmiomilionowym nakładzie. Jego przepis na sukces? Pisać codziennie przynajmniej 2 000 słów. Muszę przyznać, że pod tym względem Brandon Sanderson mnie zdumiewa. Nie jest może pisarzem tak popularnym, jak Stephen King, Lee

Child czy Dan Brown, ale jeśli mamy go porównywać z innymi wciąż piszącymi autorami fantastyki, Sanderson zostawia konkurencję w tyle. Oczywiście, jest kilka znanych nazwisk, jak chociażby George R. R. Martin, Tolkien czy J. K. Rowling, które go wyprzedzają, ale jeśli odejmiemy niepiszących (czy, w przypadku Tolkiena, po prostu martwych) pisarzy, jeśli odejmiemy autorów, którzy dali sobie spokój z fantastyką i tych, którzy wypuszczają nową książkę raz na kilka lat, wyjdzie nam, że faktycznie, mało kto jest w stanie dorównać Brandonowi Sandersonowi.

Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę bardzo pozytywne opinie czytelników. Wejdźcie sobie na Lubimy Czytać albo Goodreads i zobaczycie, jak ogromna jest przewaga pozytywnych ocen nad tymi negatywnymi. Co prawda czasem trafi się opinia jakiegoś frustrata, który nie może pojąć wspaniałości i geniuszu książek pokroju *Z mgły zrodzony*, *Droga królów* albo *Rozjemca*.

I wiecie co? Ja jestem takim frustratem.

Dlaczego nie lubię książek Brandona Sandersona? Postawmy sprawę jasno – nie chcę mówić, że Sanderson jest złym pisarzem, bo, prawdę mówiąc, pod względem warsztatu nie mam mu nic do zarzucenia. Nie mówię, więc, że macie się od jego książek trzymać z daleka – po prostu mówię, że to, co Sanderson tworzy, kompletnie rozmija się z moim gustem.

Po pierwsze – papierowi bohaterowie.

Bohaterowie w książkach Brandona Sandersona (a przynajmniej w tych trzech, które czytałem – *Z mgły zrodzony*, *Studnia wstąpienia* i *Bohater wieków*) są jak tektura – z wierzchu wyglądają na solidnych, ale gdy się na nich spojrzy uważniej, okazuje się, że mają tylko jedną warstwę. O ile główni bohaterowie jakąś osobowość posiadają, to postacie drugoplanowe można opisać z użyciem dwóch słów. I mówiąc „bohaterów drugoplanowych” nie mam na myśli postaci, które

KORNISZONOWA KISZONKA COOLTURALNA

pojawiają się raz na całą książkę, a takich, którzy, chociaż nie są bohaterami pierwszoplanowymi, pojawiają się w prawie każdej scenie na przestrzeni całej trylogii.

Z pozoru sposób, w jaki są wykreowani, nie jest zły. Przedstawiani są za pomocą mocnego kontrastu – na początku dowiadujemy się o jednej cenniejszej postaci, aby potem (na przestrzeni kolejnych tomów) dowiedzieć się o drugiej, całkowicie przeciwstawnej do pierwszej. I taki Breeze, który początkowo wydawał się zimnym, pozbawionym skrupułów profesjonalistą, okazuje się osobą o złotym sercu, a Ham, pomimo żeżny fizycznej, nie boi się rozważań filozoficznych (swoją drogą, te jego rozważania wprowadzają do książki KOMPLETNE NIC i można by się było ich spokojnie pozbyć).

Mam z tymi bohaterami taki problem, że pomimo pojawiania się na przestrzeni trzech tomów, liczących w sumie ponad 2000 stron, można ich opisać w dosłownie dwóch słowach. I o ile w pierwszym tomie ma to uzasadnienie – jest to *heist story* w fantastycznym świecie, więc pewne uproszczenia są potrzebne, aby zwiększyć tempo... Czeka, czy ja powiedziałem, „zwiększyć tempo”?

Po drugie – słabe tempo i za wiele „zapychaczy”. Jeśli już Sanderson zdecydował się, by uprościć bohaterów i nie skupiać się na bardziej emocjonalnych fragmentach, mógłby przynajmniej zapewnić nam niesamowicie szybką akcję. No, ale niestety, każdy z trzech tomów wlece się niemiłosiernie.

Z mgły zrodzony to historia szesnastoletniej Vic, przedstawicielki słabszej rasy skaa. Aby nie służyć królowi jako niewolnica, Vic para się prostymi kradzieżami razem z grupką przestępców, od których ratuje ją dopiero Kelsier – jednocześnie skrajnie miły dla



dziewczyny, ale i bezlitosny w stosunku do szlachciców i ludzi posłusznych Ostatniemu Imperatorowi. Wpada on na pomysły kradzieży atium, którego Ostatni Imperator używa do kontrolowania gospodarki królestwa, co ma doprowadzić do odebrania mu korony.

Niestety, pomimo, że *Z mgły zrodzony* obiecuje nam niesamowite *heist story* w stylu *Ocean's Eleven*, prawie nigdy tego nie dostarcza, a szybki i skomplikowany napad zamienia się w coraz bardziej skomplikowane intrygi i szpiegowanie. Ostatecznie mało co z tego wynika, a mnie po czytaniu kolejnych podobnych scen chciało się spać.

Po trzecie – skupienie na *worldbuildingu* zamiast bohaterach i fabule.

Świat wykreowany przez Brandona Sandersona na potrzeby jego książek jest naprawdę niesamowity. Najlepiej pokazują to dwie następne książki z trylogii – *Studnia wstąpienia* oraz *Bohater wieków*.

Niektóre pomysły są wręcz wspaniałe i jestem pewien, że można by je wykorzystać w przynajmniej kilku innych opowiadaniach i książkach. Niestety, powieść fantasy to nie podręcznik do RPG i otwierając taką nie oczekuję świata, który zostanie mi w całości przedstawiony, a emocji, ciekawych bohaterów i porywającej fabuły.

Bez zbytniego spoilerowania pierwszej części, druga i trzecia część skupiają się na problemach z zarządzaniem państwem i polityce, która nie jest nawet szczególnie dobrze zrobiona – ot, nasi protagoniści są nieskazitelnie dobrzy, a antagoniści źli. Tak bardzo, bardzo źli. Odszkodnią od niezbyt porywającej fabuły jest wspomniany świat, który Sanderson stara nam się jak najlepiej przedstawić, co potrafi być naprawdę ciekawe, ale nie oznacza to, że chcę czytać książkę, której główną atrakcją jest *worldbuilding* czy jakkolwiek się to nazywa. Gdybym chciał poczytać o czymś takim, kupiłbym podręcznik do gry RPG.

Podsumowanie i co mi się podobało. Pomimo tych narzekań, nie uważam, że te książki były złe. Po prostu, nie trafiły w mój gust. Było nawet kilka rzeczy, które mi się spodobały. Po pierwsze, wykreowany przez Sandersona świat jest nie tylko ciekawy, ale również bardzo oryginalny. Mówię wam, dawno nie zdarzyło mi się czytać czegoś tak odmiennego od fantastycznej sztampy.

Po drugie, zakończenia zdecydowanie wybijają się przed szereg i bawiłem się przy nich lepiej, niż przy reszcie książki. Niesamowicie trzymają w napięciu, a zakończenie drugiej książki zaskakuje jeszcze niespodziewanym zwrotem akcji. No i po trzecie, Kelsier to świetnie wykreowany bohater, który swoją wieloznacznością wybija się na tle miałej reszty.

Szymon Kornacki

„WOJNA MAKOWA”

„Wielkiej mocy zawsze towarzyszy wielkie niebezpieczeństwo. Różnica pomiędzy wielkością a przeciętnością sprowadza się do gotowości podjęcia ryzyka”- Wojna makowa, R. F. Kuang. Podczas wakacji szukałam jakiegoś przyjemnej książki, która oderwie mnie od rzeczywistości. Na taką trafiłam z polecenia kuzyna. „Wojna makowa” autorstwa Rebecki F. Kuang zbiera bardzo różne opinie, więc sama postanowiłam ją przeczytać i ocenić.

Główna bohaterka – Fang Runin, zwana Rin, jest sierotą mieszkającą w prowincji Koguta, jednej z dwunastu w Cesarstwie Nikan. Ma przed sobą trudny wybór – pozostać w domu razem z wujostwem, które traktuje ją bardzo surowo i niesprawiedliwie oraz z przymusu wyjść za bogatego starca lub włożyć masę pracy w naukę i dostać się do wymarzonej Akademii Sinegardzkiej, która jako jedyna w kraju nie wymaga ogromnego czesnego od uczniów. Rin oczywiście wybiera drugą opcję i z pomocą nauczyciela Feyrika udaje jej się dostać na uczelnię. Jednak sytuacja nie jest tak kolorowa jak można by to zakładać na początku. Do Akademii trafiają potomkowie możnowładców i inni zamożni uczniowie, którzy bardzo szybko pokazują Runin gdzie jest jej miejsce. Wyrzucona z zajęć jednego z mistrzów, w końcu podejmuje naukę u Jianga – mistrza tradycji. Na przestrzeni miesięcy spędzonych w szkole główna bohaterka poznaje wielu nowych ludzi, w tym swojego najlepszego przyjaciela Kitaja. Pod koniec roku, podczas egzaminów końcowych okazuje się, że Rin posiada nieujawniony dar, którego nikt u niej nie podejrzewał.



Jednak uczniom nie dane jest skończyć nauki, ponieważ na granicy cesarstwa wybucha wojna z Federacją Mugen. Wiedzę teoretyczną muszą zamienić na tę praktyczną. Wszyscy studenci zostają przydzieleni do różnych oddziałów wojсковych. Dziewczyna musi pozostać sobą oraz być najlepszą wersją siebie samej, co, jak wiadomo, w okresie wojny jest bardzo trudne.

Lektura, choć dosyć długa, przyniosła mi ogrom emocji. Brutalna i emocjonalna ponad sześćsetstronicowa książka wciągnęła mnie jednak nie od samego początku. Przyznam, że pierwsza połowa była trochę nudna i jak dla mnie chaotyczna. Czytałam ją bardzo powoli i często musiałam sobie przypominać kto jest kim. Gdy jednak przebrnęłam przez te początkowe rozdziały, a akcja zaczęła nabierać tempa, zostałam całkowicie pochłonięta. Moim zdaniem w *Wojnie makowej* Rebecca F. Kuang świetnie opisała bohaterów – to jak dorastają, z jakimi trudnościami muszą się mierzyć, jak bardzo się boją; pokazała też, że nie zawsze wszystko musi iść po myśli głównej postaci. Sądzę, że właśnie porażki Rin i jej przyjaciół sprawiają, iż ta historia różniła się od wielu innych. Jak wiadomo, w większości książek mimo popełnianych błędów oraz upadków główny charakter zawsze wychodzi cało i lektura kończy się happy endem. Tutaj Runin mierzy się z własnymi myślami i skutkami podejmowanych przez nią decyzji, a młodzi uczniowie stają naprzeciw wielu trudności, które często wymagają masę poświęceń. Więc czy warto sięgnąć po dzieło Kuang? Muszę na pewno wspomnieć, że *Wojna makowa* to dopiero wstęp do dalszych przygód Rin tworzących trylogię. Jeżeli lubisz kulturę azjatycką (autorka dosyć mocno inspirowała się kulturą i historią Chin), to jest to książka jak najbardziej dla ciebie. Na pewno warto pamiętać, aby nie zrażać się ilością stron czy trochę nudnym wstępem, gdyż kolejne części są tak bardzo wciągające i ciekawe, że naprawdę oplać się przebrnąć przez pierwszą część, bo kolejne nie zawiodą!

Martyna Knefel

„8+2 i PIERWSZE ŚWIĘTA”

Mam na imię Ala i mam 9 lat. Jestem nową redaktorką „Korniszona”. Moją pasją od zawsze było czytanie. Zaczęłam od serii „Biuro detektywistyczne Lasse’go i Mai”. W końcu wpadła mi w ręce książka „8 + 2 i ciężarówka”, którą napisała Anne-Cath Vestly w 1957 roku, o przygodach przeżabawnej, dość licznej rodziny, składającej się ośmiorga dzieci (Maren, Martin, Marta, Mads, Mona, Milly, Mina, Morten) i trojga dorosłych – mamy, taty i babci i psa Rurka. Przez jakiś czas mieszkali w dużym mieście, potem przeprowadzili się do domu w lesie. Gdy przeczytałam już wszystkie części, długo zastanawiałam się, która postać podoba mi się najbardziej i doszłam do wniosku że tą postacią jest babcia, ponieważ jest bardzo śmieszna i czasami ma dziwne pomysły. W tej serii jest 7 książek: „8+2 i ciężar-



ówka”, „8+2 i domek w lesie”, „8+2 i pierwsze Święta”, „8+2 i Anton z Ameryki”, „8+2 i promenada babci”, „8+2 wycieczka rowerowa do Daniil”, „8+2 i sztormowy wiatr”. Te książki są przeznaczone dla dzieci od 6 do 9 lat. Moją ulubioną częścią jest „8+2 i pierwsze święta”, bo dzieje się w niej dużo ciekawych rzeczy. Opowiada na przykład o zwalczaniu lęku przed ciemnością, szukaniu migdała w kaszy i wiele innych. Mój ulubiony rozdział to „Marta boi się ciemności”. Po przeczytaniu serii znalazłam w tych książkach dwie bardzo ważne rzeczy: że na rodzinie zawsze można polegać i jest ona najważniejsza, a także to, że marzenia mogą się spełnić. Uważam że ta książka jest mądra, pouczająca ale również zabawna. Jest bardzo fajna dlatego że ma dużo obrazków i dużą czcionkę dzięki czemu wygodniej się czyta.

Ala Świerkot

„DIUNA” — FILM

Od kiedy zobaczyłem w kinie zwiastun *Diuny*, wiedziałem, że muszę ją obejrzeć. Niby był to taki typowy blockbustorowy zwiastun, pełen wybuchów, podniosłej muzyki i szybkiego montażu, ale i tak podobało mi się to, co zobaczyłem. Około miesiąca przed premierą nadrobiłem *Blade Runnera 2049* – film reżyserowany przez Denisa Villeneuve’a, twórcę ekranizacji *Diuny*. Po tym, co zobaczyłem w *Blade Runnerze 2049* nie potrzebowałem dodatkowej motywacji, aby wybrać się na seans, lecz i tak sięgnąłem po książkę Herberta, którą przeczytałem bez większego problemu, bo po prostu bardzo mi się podobała. Miałem więc duże oczekiwania, ale czy filmowi udało je się spełnić? To... dosyć



skomplikowane.

Nie był to film łatwy do zekranizowania. Mała ilość akcji, dużo dialogów i monologów wewnętrznych sprawiła, że nakręcenie czegoś sensownego bez uciekania zbytnio od literackiego pierwowzoru było karkołomnym zadaniem. Denis Villeneuve pokazał jednak *Blade Runner 2049*, że potrafi budować napięcie bez pokazywania co chwilę akcji, a powolne sceny potrafią być równie interesujące, co te dynamiczne, więc miałem duże nadzieje.

Diuna opowiada historię rodu Atrydów, który otrzymuje we władanie pustynną planetę Arrakis. Planetę posiąć chcą również Harkonnenowie, co prowadzi do licznych intryg mających na celu obalenie króla Arrakis i zdobycia jej przez największych przeciwników Atrydów.

Gdy oglądałem film, miałem takie nieodparte wrażenie, że reżyser naprawdę chce jak najwierniej pokazać, co wydarzyło się w książce. I w sumie, patrząc na to ile osób nienawidzi, gdy ekranizacje powieści nie są wiernie, trudno się



nie zgodzić z tym podejściem. Nie uważam jednak, aby było ono odpowiednie, a przynajmniej nie w tym wypadku. Książka to książka, a film to film. To nie jest to samo i nie wszystko, co sprawdziło się w jednym medium, będzie pasować do drugiego. A tymczasem *Diuna* próbuje wpełznąć do tych dwóch i pół godziny praktycznie wszystkie sceny z połowy książki (film jest ekranizacją pierwszej połowy książki, adaptacja drugiej połowy ma mieć premierę w 2023 roku) dorzucając do tego co lepsze cytaty, które może i brzmiały dobrze w książce, bo bohaterowie wypowiadali je bardzo rzadko, ale w filmie wydają się bez sensu. To nie jest realistyczne ani pełne emocji, gdy bohaterowie rzucają podniosłymi i pełnymi patosu tekstami co dwie minuty. Wspominając o dialogach dochodzę do największego problemu *Diuny* – to nie jest film z postaciami, o które się przejmowałem. Chociaż nie brakowało momentów trudnych, w żadnej chwili nie poczułem z nimi więzi. Wiecie dlaczego? Bo film nie daje mi chwili, aby z nimi pobycć, aby skupić się NA NICH, a nie otaczających ich świecie. Nie oznacza to jednak, że pod względem fabuły film jest zły. Tak właściwie... myślę, że jest całkiem dobry – zgrabnie łączy wszystkie najważniejsze tematy z książki, dialogi są w większości dobre, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę wrzucanie co chwilę cytatów z powieści, natomiast znakomita gra aktorska (szczególnie Timothée Chalameta jako Paula oraz Oscara Issaca jako księcia Leto Atrydy) ratuje niektóre gorsze kwestie.

To natomiast, co zachwyca, to warstwa audiowizualna. I jeśli uwielbiacie za zdjęcia i muzykę

takie filmy jak *Dunkierka*, *Blade Runner 2049* czy *Interstellar*, polecam wam w tej chwili kupić bilety do najbliższego kina. Mówię poważnie, *Diuna* wygląda obłędnie, a każde ujęcie zaskakuje czymś nowym. Do *Blade Runnera 2049* brakuje mu jeszcze wiele, ale na moją ocenę może wpływać to, że kolorowy, przepięknie wymyślnymi budowlami świat *Blade Runnera 2049* jest dużo ciekawszy wizualnie od brutalistycznego architektonicznego i bardziej pustego świata *Diuny*. W każdym razie dobrze oddaje to książkę, która nie miała zbyt wielu opisów pomieszczeń, a te, które zostały opisane, były raczej dosyć puste.

Diuna ma jednak pewien problem z muzyką – jest ona bez wątpienia niesamowita, Hans Zimmer to człowiek, który nie robi złych soundtracków, ale tym razem (i wiem jak oklepane jest to stwierdzenie, ale uwierzcie mi) przeszedł samego siebie. Problem mam z tym, że muzyka jest zbyt często używana. Ponownie wróć do *Blade Runnera 2049*, który budował napięcie właściwie nie używając muzyki. Nikt nie próbował przekonywać nas agresywnymi smyczkami, że scena w filmie jest warta uwagi. Wystarczyło, że spojrzaliśmy na kadr i skupiliśmy się na fabule i od razu wiedziałem, że chcę poświęcić uwagę temu, co dzieje się na ekranie. I myślę, że *Diuna* wcale nie potrzebowała tyle muzyki, a jej oszczędniejsze używanie zwracałoby uwagę na sytuację, w których dzieje się coś naprawdę ważnego.

Trudno mi ocenić ten film. Prawdę mówiąc, dobrze bawiłem się oglądając go i nie mogę po prostu powiedzieć, abyście go nie obejrzeli. Uważam, że największym przekleństwem *Diuny* jest to, że nie umywa się do oryginału, a siłą rzeczy będzie do niego porównywana przez swoje podobieństwo. Wydaje mi się, że lekkie zmiany, tak aby fabuła bardziej pasowała do filmu, a niekoniecznie odpowiadała książce, wyszłyby nowemu dziełu Denisa Villeneuve’a na lepsze.

Szymon Kornacki





Michalina Kidoń 10 lat MDK Ochota

Komunikacja interpersonalna to różnego rodzaju porozumiewanie się z przynajmniej jedną osobą za pomocą słów, rysunków, gestów, czy postawy. Mogłoby się wydawać, że jest to proste i oczywiste, jednak wszyscy wiemy, że nie do końca tak jest. Z pewnością każdemu z nas zdarzyło się z kimś posprzeczać, a potem stwierdzić, że doszło do tak zwanego nieporozumienia. Stać się tak mogło z różnych powodów – złego użycia kodu (systemu znaków, które mniej czy bardziej świadomie stosujemy w komunikacji), braku skupienia odbiorcy lub nietrafne odczytanie intencji.

Chciałabym skupić się dziś na tym ostatnim, ponieważ moim zdaniem jest to najczęstszy powód kłótni. Nie jest to nic nadzwyczajnego, w końcu nie potrafimy czytać w myślach. Jednak jeśli jesteśmy z kimś blisko, to według mnie powinniśmy się starać go chociaż zrozumieć na wszelkie możliwe sposoby.

Wszyscy pokazujemy swoje prawdziwe intencje poprzez komunikację niewerbalną. Czyli różnego rodzaju gesty, mimikę twarzy, spojrzenia czy postawę i ruch ciała. Pierwszą rzeczą, na którą najłatwiej jest nam wszystkim zwrócić uwagę podczas rozmowy, jest mowa ciała. Wyobraźmy sobie jedną sytuację, jednak w dwóch przypadkach. Sytuacja: wybory na przewodniczącego/cą klasy. Oboje kandydatów mieli do przygotowania prezentację multimedialną, w której przedstawiają swoje pomysły na ulepszenie klasy itp. Oczywiście, poza zrobieniem prezentacji, mają obowiązek przedstawić ją swoim wyborcom.

Kandydat 1: Od razu po wywołaniu wychodzi na środek klasy, włącza prezentację i zaczyna opowiadać o swoich pomysłach. W trakcie przedstawienia stoi lub chodzi wyprostowany, klatkę piersiową ma wysuniętą do przodu, stawia pewne kroki, głowę ma uniesioną wysoko.

Kandydat 2: Po wywołaniu zastanawia się czy na pewno chce wyjść, jednak po jakimś czasie przelamuje się i staje za komputerem. Pochyla się ku prezentacji, mozolnie ją włączając. Po odpaleniu staje pod tablicą z rękoma w kieszeniach, garbi się podczas wypowiedzi, patrzy w kartkę lub podłogę. Nie jest to skomplikowana okoliczność, pytanie

też nie będzie trudne. Kto zrobił na tobie lepsze wrażenie, a co za tym idzie, na kogo byś zagłosował? Zdecydowana większość z nas bez namysłu odpowiedziałaby, że na Kandydata 1. No ale przecież nie znamy nawet treści przemówień.

W czym Kandydat 2 był gorszy? I w tym momencie pada odpowiedź typu: „Sam nie wiem, wydawał się nieodpowiedni”. I o to właśnie chodzi w mowie ciała. Wyprostowana i tak zwana otwarta postawa jest oznaką pewności siebie, która jest pozytywnie odbierana przez społeczeństwo w wielu sytuacjach, a przede wszystkim gdy mamy wybrać różnego rodzaju liderów, przywódców. Ekspresja twarzy jest kolejną bardzo ważną częścią komunikacji niewerbalnej. Według mnie to właśnie dzięki mimice najlepiej jest określać czyjeś emocje. I choć, oczywiście, każdy z nas inaczej je odczuwa, to, ponieważ wszyscy jesteśmy ludźmi, nasze odruchy są podobne. Szczególnie gdy są to w pewnym stopniu ruchy bezwarunkowe.

Udowadnia to chociażby fakt, że gdy ktoś kazałby nam sobie wyobrazić strach to myślelibyśmy o podobnych rzeczach. Dlatego też aktorzy bardzo pracują nad mięśniami twarzy, żeby widzom,



Lila Tatarata 9 lat MDK Ochota

którzy oglądają ich na ekranach czy deskach teatru, łatwiej było rozpoznać odczucia granych przez nich bohaterów.

Jako że oczy znajdują się na samym środku naszej twarzy, logiczne jest to, że 43% uwagi rozmówcy skupia się na nich. Poza tym nie bez powodu w nich najlepiej widać radość, złość czy smutek. Jednak czy oczy to tylko uczucia? Otóż nie.

To jest najlepszy wykrywacz kłamstw. Przede wszystkim dlatego, że rzadko mówi się o tym co oczy potrafią, a tak właściwie – co mózg potrafi zrobić z oczami. I znów wyobraźmy sobie jedną sytuację, jednak w dwóch przypadkach.

Sytuacja: Strzelanina w okolicach warszawskiej Starówki. Mnóstwo „gapiów”, żaden bez obrażeń. Jedna ofiara śmiertelna, dlatego też policja zakłada morderstwo. W dodatku dzięki anonimowemu informatorowi jest pewna, że wśród świadków jest zabójca.

Przesłuchanie świadka nr 1:

Detektyw: Gdzie pan stał, gdy usłyszał pan strzały?

Przesłuchiwany: Tuż przy pomniku Kopernika, gdy usłyszałem strzały zacząłem biec w przeciwną stronę, czyli do Ronda z Palmą.

Detektyw: Aha dziękuję, mówi zapisując po kolei trzy słowa: Kopernik, Palma, Prawo.

Przesłuchanie świadka nr 2:

Detektyw: Gdzie pan stał, gdy usłyszał pan strzały?

Przesłuchiwany: Pod schodami kościoła.

Detektyw: I co pan zrobił, gdy je usłyszał?

Przesłuchiwany: Wbiegłem do kościoła

Detektyw: Aha dziękuję, mówi zapisując po kolei



Wiktoria Tofil 9 lat MDK Ochota

trzy słowa: Schody, Kościół, Lewo

Po przesłuchaniu wszystkich świadków detektyw jest pewien, że mordercą jest świadek nr 2. Spytany o swoją pewność odpowiedział: To proste, świadek nr 2 odpowiadał zwięźle, pilnował każdego wypowiedzanego słowa, pocił się przy odpowiedziach.

I teraz możecie spytać po co to było, co to ma do oczu, dlaczego nie wspomniał o kierunkach które zapisał? Zaczynając odpowiadać na te pytania od końca. Nic o słowach „prawo, lewo” detektyw nie wspomniał, ponieważ nie miały one żadnego znaczenia. Były one odwróceniem uwagi od tego co istotne, ponieważ programowanie neurolingwistyczne (NLP), tylko wmawia nam, że kłamca patrzy w lewo, a osoba mówiąca prawdę w prawo. Tak naprawdę jest to mit stworzony na potrzeby filmów hollywoodzkich. A co najważniejsze, ludzie w XXI wieku coraz częściej są w pewnym sensie uzależnieni od adrenaliny. Dlatego lubimy filmy grozy, różnego rodzaju gry typu Escape Room itp. Jest to dość paradoksalne zjawisko, ale strach sprawia nam radość. Taką samą jak inne rzeczy, np. prawidłowe odgadnięcie podanej zagadki.

A wszystko to sprowadza się do rozszerzenia źrenic, które oczywiście są częścią oczu.

Choć temat ten można by jeszcze bardzo rozszerzać i rozkładać na czynniki pierwsze, można tu podsumować, że komunikacja niewerbalna jest bardzo ważną częścią komunikacji interpersonalnej. Szczególnie dlatego, że nie wszystko da się wyrazić w słowach. A myślę, że niejednemu z nas zwykły uśmiech, który jest przecież gestem, uratował czasem zły dzień.

Kasia Marecka

Bibliografia:

https://pl.wikipedia.org/wiki/Komunikacja_interpersonalna

[https://encyklopedia.biolog.pl/index.php?haslo=Postawa_cia%C5%82a_\(psychologia\)](https://encyklopedia.biolog.pl/index.php?haslo=Postawa_cia%C5%82a_(psychologia))

<https://nicprostszego.wordpress.com/2012/07/15/czyte-oczy-moga-klamac/>

<https://www.dw.com/pl/niezwyk%C5%82e-odkrycie-naukowc%C3%B3w-co-m%C3%B3wi%C4%85-o-nas-%C5%BArenice/a-17477552>



Irena Kuciaba 12 lat MDK Ochota



Kalina Lewandowska 8 lat MDK Ochota

NASZE KORNIPASJE

INDIANIE



Pewnie słyszeliście o książce Karola Maya „Winnetou”? Jeśli tak, to wiedziecie, że zawarta tam wiedza jest w części wymysłem autora, choć w jakiejś w części jest prawdą. Tytułowy Winnetou nie istniał. W rzeczywistości najznakomitszym wodzem Apaczów był Geronimo, którego indiańskie imię brzmiało Goyathlay (wymawiaj: Gjontlej), czyli ten który ziewa lub ziewający.

Indianie to rdzenni mieszkańcy obu Ameryk. W tym artykule napiszę o Indianach Ameryki Północnej. Wierzą oni w Wielkiego Ducha, który według nich stworzył świat. Wielki Duch jest wszechmocny i jego zasługą są choroby, wojny, pokój, urodzaj, bieda itd. Indianie modlili się do Wielkiego Ducha przed totemami. Totemy były zrobione z drewnianego pala wbitego w ziemię z wyłobionymi postaciami mającymi przedstawiać indiańskich bogów. Były czymś w rodzaju krzyża dla chrześcijan.

Główne plemiona Indian Ameryki północnej to: Komancze, Crowowie, Utahowie, Kiowa, Apacze, Dakotowie (Siuksowie), Osedzowie, Irokezi, Czarne Stopy (Siksika), Nawahowie... I jest ich o wiele, wiele więcej (nie licząc różnych

odłamów, z których składało się jedno plemię!).

Zanim biali ludzie „odkryli” Amerykę, Indianie do polowań używali luków zrobionych z gałęzi i ścięgien bizona. Potem Indianie nosili strzelby, które zdobyli lub kupili od białych kupców. Ich największymi wrogami byli biali osadnicy. Działo się tak dlatego, że biali zabierali im ziemię, żeby zbudować tam np. miasto lub fabrykę. Przeciwko nim plemiona, które normalnie żywiły do siebie nienawiść, potrafiły się zjednoczyć.

Indianie nosili ubrania ze skór zwierząt, głównie bizona lub niedźwiedzia. Nosili na szyjach naszyjniki z pazurów szarego niedźwiedzia, zwanego grizzly, jako dowód swojego męstwa, ponieważ Indianom nie wolno było nosić nie zdobytych przez siebie trofeów. Niedźwiedź grizzly był najgroźniejszym drapieżnikiem na prerii i w Górach Skalistych, potrafił biec z sarną lub małym bizonem w pysku. Zabicie go Indianie uważali za czyn honorowy, lecz rzucenie się na grizzly z nożem uważali za czyn zuchwały. Jeżeli Indianinowi udało się zabić niedźwiedzia grizzly, wtedy miał prawo nosić naszyjnik z jego pazurów.

Na głowach Indianie nosili zwykle opaski, z piórami lub bez. Najlepsi i zasłużeni wojownicy nosili okazjonalnie pióropusze. Pióropusz mógł być zrobiony z piór dowolnego ptaka (największą sławę przynosiły pióra orła.) Każde pióro symbolizowało jakiś ważny czyn wojenny lub w ogóle czyn przynoszący uznanie. Indianie traktowali pióropusz jako talizman przynoszący szczęście. Czyli po ludzku: jak już zdobyłeś jedno pióro, to łatwiej było ci zdobyć kolejne.

Wojownicy nosili ze sobą nóż, a tomahawk brali tylko na bitwy. Wódz zawsze miał ze sobą swój tomahawk i nóż. Indianie nie mieli podkowanych koni, chyba że zdobyli od białych takie-ko z podkowami. Zwykle jeździli na udomowionych mustangach. Mieli swoje konie i trzymali



je wszystkie razem. Nigdy nie rozstawali się ze swym końmi na dłużej niż dwa dni.

Pewnie słyszeliście o tipi i wigwamach? Musicie wiedzieć, że to nie to samo. Podstawową różnicą było to, że tipi były przenośne, a wigwamy nie. Wigwamy mogły być robione z ziemi, kamieni lub ze skór, a tipi tylko ze skór. Na tipi często można było ujrzeć malowidła przedstawiające różne sceny z ich życia Indian, na przykład polowania, bitwy albo skalpowanie. Skoro jesteśmy już przy skalpowaniu, to opowiem wam, co to było. Skalpowanie to zdobyczenie kawałek skóry z głowy człowieka z włosami. Im więcej skalpów miał wojownik, tym większą zdobywał cześć.

Indianie uprawiali kukurydzę, dynię i fasolę, i nazywali je trzema siostrami.

A teraz ciekawostka: to Indianie wynaleźli popcorn! Dokonali tego kładąc na rozgrzanych kamieniach wysuszone kolby kukurydzy.

Dzięki, że przeczytaliście ten tekst. Wielki Duch będzie wam łaskawy i szczęście będzie wam sprzyjało. Howgh!

Adam Kociubiński

SZCZURZYŃKI

Szczury to wspaniałe zwierzaki, naprawdę. Jeśli ktoś z was ma pieska, to uwierzcie, szczurek to taki malutki piesek z dłuższym ogonem i bardziej okrągłymi i sterzącymi uszami. Można nauczyć je bardzo wiele sztuczek. Są one bardzo zręczne. Byliście kiedyś na siłowni? Bardzo często są tam takie drabinki, po których chodzi się tylko rękami i nie można dotykać nogami ziemi. Szczury też tak potrafią. Te wytrenowane przychodzą na zawołanie. Moja niania kiedyś miała taką pracę że musiała spotykać się z różnymi ludźmi i proponować im oferty. Wtedy miała też szczura. Był biszkoptowy i bardzo mądry. Ciocka zabierała go na ramieniu do pracy. Rozpuszczała włosy i on pod nimi spał, a gdy nagle zaczynała się śmiać wszyscy pytali się czemu się śmieje a ona wyjmowała szczurka spod włosów. To była moja najfajniejsza niania i była ze mną najdłużej. :D

Ja mam dwa szczury, Lily Potter i Fredzię. Są cool! Lily jest bardzo dobra w pokonywaniu torów, jest szaro-biała. Fredzia jest biało-czarna i bardzo przytulaśna.

Nasza najfajniejsza przygoda jest taka, że posłaliśmy razem do parku. Szczurzyńki siedziały u mnie na ramieniu. Byłam też z moją najlepszą przyjaciółką, więc jak byliśmy na takich jednych schodkach otoczonych murkami



kamieni, to puściłyśmy je i pilnowaliśmy żeby nie chodziły do góry i w dół. A potem było najfajniejsze. Posłaliśmy nad takie jezioro i Lily postanowiła się wykapać, a potem nie mogłam jej złapać. Zdjęłam buty, podciągnęłam spodnie i dopiero wtedy złapałam Lily. Później z moją przyjaciółką suszyłyśmy szczurki chusteczkami z jednej kawiarni. Wróciłam do domu, a moja mama nawet się nie zorientowała, że kupiłam sobie lody. Ale to nieważne.

Fajną zabawą jest też robienie torów i placów zabaw dla szczura z kartonu. Wystarczy

mieć trochę rzeczy z tego: karton, deski, butelki po wodzie, kolorowe drukarki, pompony, klej, klej na gorąco, nożyczki, taśmę, niepotrzebne gumki, opakowania po chusteczkach i lekach. A gdy ktoś chce żeby było estetycznie, to spreje i farby. Jest to super zabawa i można nagrać fajne filmiki. Gdy przychodzą przyjaciółki i nie wiecie co robić, jest gotowy pomysł na fajne spędzenie czasu (dla wielbieli chomików: z nimi też tak się da).

Prócz tego polecam dla nieprzekonanych o wspaniałości szczurów: wpisać w Youtube „niesamowite sztuczki szczurów”.

Największa przygoda mojego szczura Lily zdarzyła się, kiedy wzięłam je na dwór i Lily uciekła w krzaki bo się czegoś wystraszyła. A my akurat wyjeżdżaliśmy na wakacje. Byłam cała we łzach i prawie spóźniłam się na samolot. Ale jej nie znaleźliśmy. Po tygodniu przez ogłoszenie zadzwonił do nas pewien pan i okazało się, że Lily nas szukała, przebiegła przez plac zabaw i zamieszkała pod tarasem tego pana, gdzie uwiła sobie gniazdko. A potem pan ją złapał i się znalazła.

Naprawdę polecam kupić sobie szczura albo, jeśli ktoś tak myśli, to chociaż przestać myśleć że są obrzydliwe!

Łucja Angier

GIMNASTYKA AKROBATICZNA

Jest to dyscyplina sportowa polegająca m.in. na wykonywaniu skoków akrobatycznych. Jest ona trudna i wymagająca dobrej kondycji i sprawności, potrzebnej do wykonywania skoków ze stóp na ręce i z powrotem na nogi, w przód i w tył. Są organizowane różne zawody w tej dyscyplinie. Jest sześć klas, w których startują zawodnicy w zależności od wieku: pierwszy krok, klasa młodzieżowa, klasa III, klasa II, klasa I i klasa mistrzowska.

Ja trenuję akrobatykę od 5 lat. Wszystko zaczęło się od tego, że poszłam z tatą i siostrą do kina na film „Barbie i Tajne Agentki”. Po obejrzeniu tego filmu powiedziałam mamie, że chciałabym zostać tajną agentką jak Barbie z koleżankami w filmie. Wobec tego mama jakiś czas później zabrała mnie do pobliskiej szkoły sportowej, żebym zobaczyła czy mi się tam spodoba. Zaprowadziła mnie do hali sportowej, gdzie inne dzieci skakały na batusie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam co to batut. Mama porozmawiała z trenerką i uzgodniła, że przyjdę w kwietniu na rekrutację. Musiałam się nauczyć paru ćwiczeń np. przewrotu, mostka czy gwiazdy. Egzamin zdałam pomyślnie i w następnym roku szkolnym przyszedłam na rozpoczęcie roku szkolnego do drugiej klasy.

Byłam w tej szkole cztery lata. Niestety była kwarantanna, przez co było nauczanie zdalne, na którym sobie nie radziłam, więc Mama przepisała mnie na edukację domową. Ponieważ nie chodziłam już do szkoły sportowej, przestałam trenować. Na szczęście na Stacji Grawitacji pojawiła się oferta Rok Za Darmo (RZD). Polega to na tym, że trzeba kupić 10 dwugodzinnych wejść. Od dnia kupna dziesiątego wejścia można skakać codziennie dwie godziny na stacji. Razem z siostrą skorzystałyśmy z tego i od jakiegoś miesiąca skacząc na trampolinach, podczas gdy moja siostra spędza czas „w powietrzu” na parku linowym.

Moim największym osiągnięciem jest wykonanie rundaka, dwóch fiffaków i salta. Niedawno skończyłam aż dwanaście fiffaków. Niestety, po tym wywróciłam się, ale na szczęście na wielką, miękką poduchę.

W akrobatyce występują:

-Skoki na batusie. Batut jest to specjalna „biała” trampolina – biała siatka z czerwonymi elementami. Wybija ona wyżej od zwykłej trampoliny, a im wyżej się człowiek wybijie, tym więcej jest czasu, żeby wykonać element, dzięki czemu łatwiej jest skoczyć trudniejsze rze-

czy. Na trampolinie głównie skacze się salta. Salta są różne. Niektóre skacze się w przód, niektóre w tył, a jeszcze inne w bok. Salto może być kuczne (tradycyjne), łamane bądź proste. Może być też pojedyncze, podwójne, potrójne itd. Salto proste kilkukrotne to jest tak zwana śruba. Nazywa się tak, ponieważ ruch podczas wykonywania przypomina wkręcającą się śrubę. Istnieje również salto z półbrotem zwane potocznie baranem. Oprócz salt można skakać niektóre elementy ze ścieżki, np. fiffak.

-Skoki na ścieżce. Skoki na ścieżce są szybkie i dynamiczne. Jest dużo figur i są one bardzo różnicowane. Chyba najbardziej popularnym ćwiczeniem jest przrzut bokiem, potocznie zwany gwiazdą. Dość podobną figurą jest rundak, z tą różnicą, że się łąduje na dwie nogi zwróconym w stronę z której się zaczęło ćwiczenie. Rundak daje mały rozpęd, dzięki czemu łatwiej jest następnie wykonać ćwiczenie, w którym trzeba się odbić od ścieżki np. salto czy fiffak. Na ścieżce można skakać wszelkie salta, ale jest trudniej je skoczyć niż na trampolinie, bo jest twarda powierzchnia i nie można się tak mocno wybić.

Irena Kuciaba

TENIS ZIEMNY

Moją pasją oraz ulubionym sportem jest tenis ziemny. Zaczęłam grać kiedy miałam 8 lat. To fajny sport, bo nie stoi się w miejscu, tylko ciągle trzeba się przemieszczać. Jednak niestety to zarazem sport dość drogi. Jeśli gra się w tenisa, nie zwraca się uwagi na pogodę. Można grać w pogodę deszczową lub zimową, albo słoneczną. Jest to obojętne, ponieważ korty są zazwyczaj wewnątrz. Kort to takie boisko do gry w tenisa. Najbardziej lubię Igę Świątek, szóstą na liście rankingowej tenisistek. Oglądam dużo jej meczy. Sławną tenisistką była też Agnieszka Radwańska, ale już nie gra. Chodzę co tydzień na lekcje grupowe, niedaleko Centrum Handlowego Blue City, w klubie tenisowym WKT (czyli Warszawski Klub Tenisowy) Mera. Sprzęt do grania w tenisa jest prosty: potrzebna jest rakietka tenisowa, która wygląda trochę jak paletka do



Gabrysia Baraniak 6 lat MDK Ochota

badmintona, tyle, że jest większa, i ma grubszą oprawę. Do tego specjalne buty do biegania z dobrą podeszwą, takie, co jak ma się człowiek zatrzymać, to nie ślizgają się po całym korcie, tylko od razu hamują. Do odbijania rakieta potrzeba oczywiście piłki. Nie jest ona jak np. piłka plażowa czy do grania w piłkę nożną. Nie jest ona ani dmuchana, ani taka duża. Jest ona najczęściej zielona, twarda, nie może być zbyt ciężka, bo przecież trzeba ją jakoś odbijać, i w niektórych miejscach piłkę otacza biały pasek. Jeśli chce się grać w tenisa, trzeba umieć trzy podstawowe odbicia: forhand, backhand i serwis. Oczywiście wszystko za pomocą rakiety tenisowej. Lubię ten sport, ponieważ dużo się w nim dzieje, i polecam go, jeśli szukacie jakiegoś ciekawego zajęcia.

Noemi Kargol

Winni powstania tego numeru: (przeciwnie do ruchu wskazówek zegara)

Szymon Kornacki (krytyczny kornirecenzent), **Zosia Radecka** (młoda aktywistka chwilowo nieobecna), **Łucja Angier** (kornipodróżniczka i treserka szczurzynek), **Sylwia Kurowczycka** (redaktorka chwilowo nieobecna), **Zofia Pietrzak** (strażniczka ekologii chwilowo nieobecna), **Maciej Skolimowski** (aktywny wolontariusz chwilowo nieobecny), **Katarzyna Marecka** (kornipsycholożka), **Helena Adrian i Zuzia Chyła** (aktywne altsajderki), **Martyna Knefel** (kornipodróżniczka z czytelnicy pasją), **Adam Kociubiński** (kornietnograf), **Kinga Borowska** (chwilowo nieobecna), **Alicja Świerkot** (kornirecenzentka), **Irena Kuciaba** (korniakrobatka), **Noemi Kargol** (kornipodróżniczka, fanka tenisa), **Hela Wójcicka** (korniryśownicza), **Pan Piotr Maj** (neonowy rozświetlacz), **Pani Kamila Wejman** (oprawca graficzny), **Pani Ania Gryglewicz** (korni-pr, wszechogarniacz), **Mamma Dynia Anna Szwed** (Redaktor Naczelny)

„WARSZAWO MA” — finał VII Przeglądu Artystycznego dzieci i młodzieży z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego



VII edycja Przeglądu Artystycznego dzieci i młodzieży z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego rozstrzygnięta!

25 października był w MDK „Ochota” dniem pełnym wzruszeń, bogatych doznań artystycznych i wielu ciekawych spotkań. Z wielką radością gościliśmy w naszych progach wspaniałych i dostojnych gości honorowych - Burmistrza Dzielnicy Ochota panią Dorotę Stegienkę, Zastępcę Burmistrza pana Sławomira Umińskiego, Naczelnika Wydziału Oświaty i Wychowania Dzielnicy Ochota pana Krzysztofa Grochowskiego, Naczelnika Wydziału Spraw Społecznych i Zdrowia pana Mirosława Starzyńskiego, Kierownika Referatu w WSSiZ panią Joannę Wichlińską i przewodniczącą komisji artystycznych - aktorkę i kompozytorkę panią Dominikę Świątek. Nasi Przyjaciele przybyli by uhonorować i podziwiać 64 laureatów przeglądu „Warszawo ma”. Wydarzenia, które już na stałe wpisało się w kalendarz i rokrocznie cieszy się uznaniem nauczycieli ze szkół i placówek z Warszawy i okolic. Również od 7 lat niezmiennie odbywa się pod honorowym patronatem Muzeum Powstania Warszawskiego, z czego jesteśmy ogromnie dumni.

Dzisiejsze spotkanie rozpoczęliśmy od obejrzenia prezentacji prac plastycznych i grafik komputerowych, następnie we wspólnym widowisku słowno-muzycznym zaprezentowali się nagrodzeni i wyróżnieni laureaci kategorii wokalne i recytatorskiej. Wszystkim występom młodych ludzi i ich odbiorcom towarzyszyły ogromne emocje zachwytu, dumy, radości, a łzy wzruszenia same cisnęły do oczu. Jesteśmy wdzięczni, że po roku izolacji mogliśmy się spotkać i dotknąć Waszej twórczości i niezwykłego talentu.

W konkursie wzięło udział 165 uczestników z 16 placówek oświatowych. Komisje przyznały łącznie 30 nagród i 34 wyróżnienia. Grand Prix przeglądu zdobył Kuba Krakowski w kategorii wokalne.

Nasz Przegląd to hold oddawany Bohaterom Powstania Warszawskiego, to niski ukłon dla ich czynów i poświęcenia czasem tego największego - własnego życia. Zamieszczamy fotograficzne spotkanie ze wspaniałym młodym pokoleniem, w którym cała nadzieja i pamięć o tak ważnej historii. Dziękujemy za udział, za kolejny rok ubogacenia nas swoją obecnością!

Anna Gryglewicz



NAGRODA Emilia Pawłowska 10 lat SP 361



NAGRODA Kinga Figura 13 lat SP 6 w Sochaczewie



NAGRODA Helena Marcyniak 13 lat SP 23



NAGRODA Julian Szwarz 9 lat MDK Ochota